Nr. 1. **Rok I**

We Lwowie 1. października 1882.

„ZIARNO“

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 [illegible] 5 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza p[illegible]tem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze tychże.

WIELKI WYBÓR

Kapeluszy jesiennych

w najnowszym guście

i

po cenach

najumiarkowańszych

zaopatrzyły się

L. & K. SCHWEIZERÓWNY

Ulica Fredry liczba 2.

Halicka 54.

F. M. ZIELIŃSKI

przy ul. Teatralnej l. 7.

naprzeciw głównego wchodu do kościoła archikatedralnego we Lwowie

Poleca P. T. Szanownej Publiczności swój skład i pracownię obuwia dla dam, mężczyzn i dzieci, z najlepszego materjału, po cenach umiarkowanych, ręcząc za trwałość.

Szanowni odbiorcy z prowincji raczą miary w nowy praktyczny sposób nadsełać: stopę na papierze do koła odrysować, palce, podbicie i objętość papierem lub centimetrem odmierzyć, a jeżeli potrzeba wymaga, opis nagniotek, odmrożenia kostek, wklęsłości i rozmaite kalectwa nóg; gdyż podług tego urządzam kopyta. W ten sposób można otrzymać wygodne obuwie, a nawet nagniotki na zawsze wygubić.

KONCESSYONOWANE

BIURO WYWIADOWCZE

JÓZEFA BIRKLE

we Lwowie, Rynek l. 26. I. piętro,

pośredniczy przy wydzierżawieniu i sprzedaży realności wiejskich i miejskich; w umieszczeniu nauczycieli, nauczycielek, bon, rządców, ekonomów, leśniczych, ogrodników, rzemieślników. Również umieszcza wszelką służbę potrzebną w gospodarstwie wiejskiem i w mieście. Wyjednywa wizy paszportów.

Utrzymuje wyłącznie skład

HERBATY KARAWANOWEJ CHIŃSKIEJ

najlepszych jakości i w cenach najumiarkowańszych

Zakład tapicerski

J. LEŚNIAKOWSKIEGO

we Lwowie, ul. Kręta l. 7.

przyjmuje zamówienia, tak miejscowe, jak i z prowincji, wykonywa takowe jak najstaranniej i po cenach umiarkowanych.

DRUKARNIA

„DZIENNIKA POLSKIEGO"

przy ulicy Halickiej pod l. 46 na dole

przyjmuje wszelkie zamówienia na

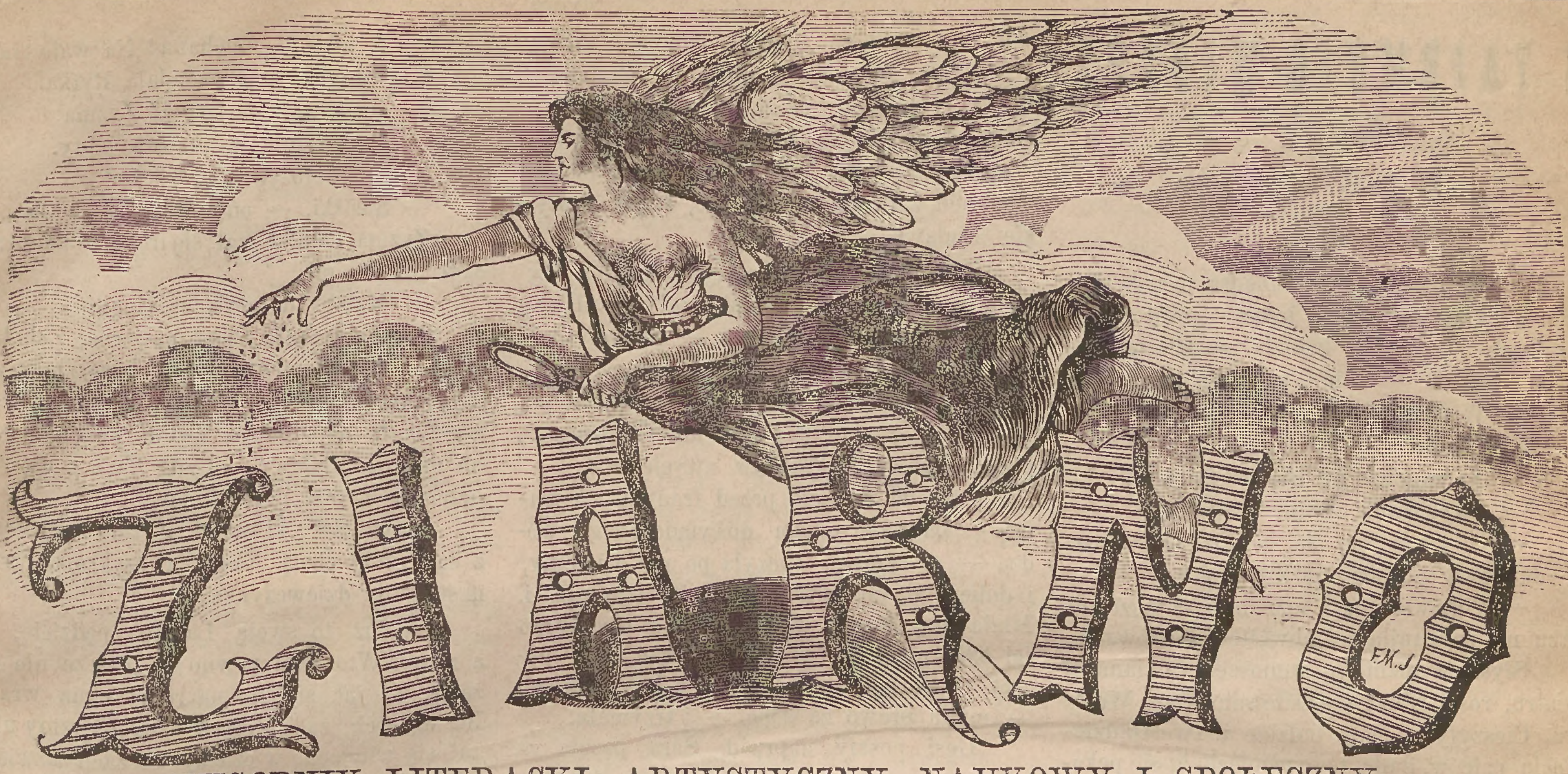
roboty odnoszące się do sztuki drukarskiej

które uskutecznia prędko, wzorowo

i po cenach umiarkowanych.

Leon Zubalewicz,
zarządca.

Nr. 1. We Lwowie dnia 1. Października 1882 r. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arknsza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Do naszych czytelników.

Stan naszego społeczeństwa da się określić jednym wyrazem: a p a t j a. We wszystkich przejawach duchowego życia cięży na nas ta zmora, przygniatając ołowianą dłonią serca i mózgi. Żyjemy z dnia na dzień zamknięci w sobie, ospali, nie troszczący się o nic więcej, jak tylko o zaspokojenie najlichszych potrzeb żywota. A tymczasem świat postępuje naprzód, ludzkość zdobywa sobie nowe działalności obszary, wstrząsają nią nowe prądy, co chwila robi nowe zdobycze na polu wiedzy, i szybkim krokiem dąży do świątyni udoskonalenia. Dlaczegoż pozostajemy w tyle, dlaczego my, którzy zawsze chełpimy się rzeczywistemi i urojonemi zasługami na polu cywilizacji, skazujemy się dobrowolnie i samowiednie na rolę lichego statysty w ogólno-dziejowym pochodzie? Żeby nato odpowiedzieć, trzebaby sięgnąć bardzo głęboko, trzebaby zastanowić się nad podstawami bytu społeczeństw i warunkami rozwoju tychże, na co nam ramy naszego pisma nie pozwalają. Konstatujemy tylko, że nie dotrzymujemy kroku w postępie nie tylko innym narodom, ale nawet innym dzielnicom naszej ojczyzny, a zdaje się, że żaden wykształcony człowiek temu zaprzeczyć nie może.

Ten zastój, to zacofanie najlepiej może okazuje się w kwiecie rozwoju ludzkiego ducha — w literaturze. Podczas gdy gdzieindziej niemal każdy człowiek z zapałem pochłania strawę duchową, u nas ludzie, miłujący literaturę, należą do rzadkości. A mówiąc to mamy na myśli nie ciemny lud ale inteligencję, wśród której dla bardzo wielu wystarczają wiadomości podawane przez pisma codzienne, a nie brak i takich, którzy obywają się i bez tego.

Jaskrawych dowodów słabego poparcia u nas piśmiennictwa przez ogół, dostarczają dzieje pism literackich w Galicji. Ani jedno nie zdołało się stale utrzymać mimo prawdziwego poświęcenia wydawców. Każde kończyło na suchoty z powodu braku prenumeratorów. A nie myślcie aby do utrzymania pisma literackiego potrzeba było bardzo wielkiej liczby prenumeratorów. Gdzie tam! Cyfra to jest bardzo skromna, tak skromna, że w społeczeństwie miłującem literaturę powinnoby jej dostarczyć jedno większe miasto, a nie dopiero kraj sześciomiljonowy! Nie mówimy tego p r o d o m o s u a, bo nie należemy do optymistów i nie roimy sobie zbyt różowej przyszłości, ale faktycznie wstydem jest, że takie małe kraiki jak Serbja posiadają po kilka pism literackich, a Galicja nie dała trwałego żywota ani jednemu!

Smutny ten objaw umysłowego upadku naszego społeczeństwa tłumaczą zwykle biedą i nędzą. Tłumaczenie to nieszczere i fałszywe. W Galicji wcale nie brak ludzi, dla których wydatek guldena lub dwóch miesięcznie bardzo mało znaczy. Ci ludzie wyrzucają co dziennie pieniądze na zbytkowe zagraniczne artykuły, ci ludzie chętnie kupują obce, bardzo wątpliwej wartości wydawnictwa — ale na swoje zawsze im braknie.

Przystępując do wydawania „Ziarna" robimy nową próbę, aby w Galicji stworzyć pismo, któreby było ogniskiem ruchu umysłowego, i dążąc z postępem odpowiadało w każdym kierunku zadaniom chwili. Istnienie nasze zależy od poparcia publiczności, zależy od tego, czy Galicja posiada dostateczną liczbę jednostek, miłujących literaturę i wiedzę. Nie apelujemy do żadnych uczuć czytelników, nie prosimy o żadne mecenasostwo w formie kilku guldenów, nie żądamy łask żadnych, idzie nam tylko o poparcie, którego źródłem powinno być przekonanie czytelników, że takiego pisma, jak nasze, potrzeba. Jeżeli takich prenumeratorów dostateczną liczbę pozyskamy, wtedy byt nasz będzie utrwalony. Jako ludzie uczciwi nie robimy żadnych szumnych przyrzeczeń, tyle tylko powiemy, że będziemy pracowali sumiennie, i że dobro ogółu, a nie osobiste korzyści jedynym naszym będą drogoskazem. Z resztą macie pierwszy numer w ręku — sądźcie sami!

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA
przez
SEWERA.

I.

— Wałowa, ho—ho—mądra to żydówka, dziesięcioma palicami i jedną głową a tyle dokazuje, — mówiła kobieta przysięźnego.

— A ino — a ino, przyświadczały kumy. — Wyżywić bez te jedne palice siebie i czworo dzieci.

— Na zagonie jej nie uświadczy...

— Zwyczajnie cygani żydówka.

— Oj trzeba jej się strzedz jak ognia, — zaklinały gospodynie z Pęcisk.

— Pilnować się i już, mnie ta jesze ani razu nie zcyganiła — chwaliła się kowalka.

Słyszała rozmowę kumoszek rumiana od wiatru, rosła, dobrze zbudowana Sara Wałowa. Cieszyły ją sądy ludzkie w kwestji dziesięciu palców, i dla tego uśmiechała się pokazując duże, białe zęby. Rada by wpaść do izby, ująć się za sobą i wykłócić z temi, które radziły strzedz się jej jak ognia, — lecz czasu nie miała. Niosła do domu trzy kopy jaj na czwartkowy jarmark szczurowski. Trzy kopy jest co dźwigać, a do tego wielki kosz pełen sieczki. Umyślnie jej dużo zabierała do każdej pary kupionych jaj. Gospodynie się śmiały, ale nie broniły.

— Zdaje się wam Wałowa, że jaja szklanne, abo złote, co je tak obkładacie sieczką.

Wtedy Wałowa ująwszy się pod boki, zaczęła rozpowiadać o wielkim swym strachu, aby się nie potłukły. Cały majątek w nie włożyła. I jakby wtedy biedna sierota, dała sobie radę, sama z czworgiem dzieci bez jednego zagonu ziemi.

Gospodynie podparłszy brody na rękach, słuchały skarg żydówki.

W taki to sposób przy kupnie trzech kóp jaj, zdobyła Sara pełen kosz sieczki i plew.

Nie długo bawiła przed chatą kowalki, — podłożyła pod sznury na ramionach świeże garstki znalezionego na drodze siana i poszła, spiesząc się, aby jaknajprędzej dobić do chaty.

— Żebyście wiedziały, że mam głowę na karku, — mówiła do siebie. — Jaja kupiłam po dwa centy sztuka, a sprzedam cztery za dziesięć. Dziewięćdziesiąt centów zarobku, sieczka warta dziesięć — to już gulden. A pierze z podskubanych gęsi?... A może co dla dworu kupię, — albo sprzedam na jarmarku, — to także zarobię.

Słońce piekło, — pot spływał po wypukłem czole, — ciemno zielone błonie mówiące kolorem swym o glinie pod spodem, roiło się stadami bydła, spętanemi końmi i białemi gromadami gęsi. — Zadumane krowy, poważnie spoglądały na skaczące obok nich cielęta, konie szukały cienia u wierzb, rosnących nad wodami o wysokich brzegach, zapadniętej głęboko, krętej a płytkiej Rudawy.

Sara umyślnie wkroczyła w głąb ożywionego pastwiska. — Zobaczyły ją zdaleka gęsi, — zagęgały radośnie, — rozpięły białe skrzydła podobne wachlarzom — i wyciągnąwszy szyje, biegły po gładkiem błoniu jak wojsko do ataku z nastawionemi lancami, pełne wrzawy i okrzyków zwycięztwa.

Pani ich stanęła przed frontem, lustrując — bacznem okiem doświadczonego wodza — szeregi. — Liczyła po raz już setny, i doliczyła się okrągłej liczby trzydzieści. Miała przy błoniu własną chatę, a więc wolno jej było na gromadzkiem trzymać gęsi nawet sztuk trzydzieści. I choć ludzie gadali — miała prawo za sobą — i trzymała.

Gęsi poszły naprzód, Sara poszła za niemi pełna dumy i wewnętrznego zadowolenia. Marzyła, — raczej rachowała. Marzenia jej pod wpływem rachunku zdobywały podstawę rzeczywistości; i dla tego Sara Wałowa uśmiechała się do swych marzeń pokazując duże, białe zęby. Uśmiechając się oblizywała się szybko, nerwowo, nie z wielkiego łakomstwa, lecz z radości, że dzieci jej w zimie nie będą cierpiały głodu i zimna.

— Czworo — szeptała — dziesięć palców i jedna głowa.

Tętent kopyt bijących o murawę błonia i wołania młodych głosów, ocuciły ją, — obejrzała się szybko.

W krymce na głowie szedł Zyzma dotrzymując kroku wielkiej, czarnej, z białemi łatami krowie, spieszącej do domu. — Oparł rękę na jej biodrze i milczał, nie zważając na krzyki trojga dzieci, które biegnąc przed nim, — przywoływały matkę.

Sara czekała na dzieci i czarną z białemi łatami krowę, dużą i długą. — Nikt takiej nie miał we wsi, — ale też i Wałowa umiała wywiedzieć się, wybrać i kupić. Wałowa miała głowę, a nóg i języka nie żałowała.

Dzieci ją obskoczyły, dwóch synów i córka, — Zyzma został na swem stanowisku. Zgrzana i objedzona krowa sapała, robiąc bokami.

— Gdzieżeście ją to paśli? pytała uśmiechnięta matka.

— Na wale, na wale, — wołały dzieci wesoło chwaląc się.

— Ej bo krowę zajmą.

— Paśliśmy od strony rzeki, — mówił z dumą Josek, — Zyzma pilnował stojąc na warcie.

— A jaka ci obuchana! Na wale trawa jak w ogrodzie, — opowiadała Ryfka.

— Dużo jaj? — spytał Zyzma.

— Trzy kopy — po dwa centy.

— Nie dołożyli do dwustu?

— Sieczki, — odpowiedziała matka.

Zyzma uśmiechnął się ironicznie i wzruszył ramionami.

— Mnieby dołożyli — szepnął.

Sara usłyszała szept pasierba. Zabolało ją pod sercem, odwróciła się i poszła trzymając najmłodszego Mojżeszka za rękę. Starsze biegły naprzód — Zyzma zwrócił krowę na mostek Rudawy, — gdy Sara z dziećmi przeszła wprost przez kładkę.

Naprzeciw krowy i Zyzmy wybiegła z sąsiedniej chaty Kasia Zawrzykrajka, trzynastoletnia dziewczynka.

— Już to swoją Łaciatę pędzicie, — a nasza Wtorucha pewno się jeszcze nie nażarła, bo jak się ino nażre to sama wraca.

Na wąskich, zaciśniętych ustach Zyzmy ukazał się uśmiech, w czarnych oczach zaświecił tajemniczy blask, przysłonięty długiemi rzęsami. — Widocznie Zyzma lubiał Kasię, — bo też Kasia była biała i rumiana, miała duże, siwe oczy, koralowe usta a buzię pociągłą. Nożyny zgrabne choć chude i czerwone, a włosy złotawe, przepalone od słońca, wydobywające się obficie z pod białej chusteczki.

— Kasia Zawrzykrajka była dawniej w dobrym bycie, to i nie dziw, że biała — mówili ludzie.

— Już to ze szkoły wróciłaś? — pytał dziewczynki Zyzma.

— Ależ dziś nie chodziłam, — odparła. — Matka poszli do miasta, wele tego prawa o grunt — i musiałam doma zostać. — A któż im kluski uwarzy — kto wydoi Wtoruchę? chwaliła się wstrząsając główiną, a swą młodziutką buzię strojąc zafrasowaniem starych gospodyń.

— Kasiu ja chcę, żebyś ty chodziła do szkoły, — rzekł stanowczo Zyzma. — Bo i ja choć żyd skończyłem ją z dobrej woli.

— A dyć chodzę. — Nie chodziłam to bez całą zimę, coście Matusi skredytowali na buty dla mnie? Przecież bez butów, anibym wyjrzała z chaty.

Usprawiedliwienia dziewczynki przyjął Zyzma łaskawie, przez wzgląd na pamięć jej o kredycie na buty.

— Chcę żebyś chodziła całe lato — mówił rozkazującym tonem. — A jak ci trzeba na papier, albo na rysik, to ci dam. — Tylko żebyś mi ani pisnęła przed macochą i jej dziećmi.

— Cobym miała pisnąć, nie lubię się chwalić. — Rysik Matusia mi kupią i pa-

pieru jeszcze ćwiarteczka została. Tylko mi książek brak.

Zyzma wprowadził krowę do obórki, uwiązał ją i wszedł do izby. — Kasia wsunęła się za nim.

— Czego tu ona chce? odezwała się po żydowsku Sara, pokazując oczami Kasię.

— Niech zostanie, kiedy jej się podoba, — rzekł Zyzma z godnością.

— Żeby rozgadywała po wsi co do gęby kładziemy, — a mało to nam ludzie zazdroszczą?

Kasia nie rozumiejąc mowy żydowskiej zaczęła się bawić z Ryfką i Joskiem.

— Wyprowadzę ją — odparł młody żyd odwrócony do okna.

Sara pochwyciła skopek i konewkę, - zawołała na dzieci — wzięła na rękę trzyletniego Mojżeszka, i wybiegła mówiąc po cichu do siebie:

— Co ten głupi Zyzma myśli sobie z tą dziewczyną? Jemu się przewróciło w głowie, — głupi!

Zyzma został w izbie z Kasią — wyjął z koszyka zasypane sieczką jedno jajko.

— Weź se to — schowaj — nie pokazuj nikomu, ugotuj i zjedz.

— Będzie do klusek — zawołała dziewczyna wsuwając jajko za gorsecik.

— Wtorucha wraca — rzekł wyglądając oknem.

Dziewczynka wybiegła do Wtoruchy, szczęśliwa, że mąkę na kluski zagniecie ze świeżem jajem.

— Zyzma choć tam żyd, — mówiła przez drogę, to go przecie lubię. — O lubię go! zawołała. — A co go nie mam lubić? Dobry choć żyd i nie skąpy choć żyd.

Wtorucha wkroczyła na most; Kasia przystanęła czekając na nią.

— Nie jest ci ona taka co żydowska — myślała kiwając frasobliwie główką, jak to czyniły stateczne gospodynie. — Ale bo też my nie żydy. Żyd potrafi ci zawsze coś wyspekulować i lepiej mu. — Ale my tam przecie nie żydy.

Wtorucha spojrzała tylko na Kasię, i opędzając się muchom poszła dalej, ani się zbliżyła, ani przywitała. Dopadła do obórki i nogami póty pracowała, póki nie otworzyła drzwi i nie wbiegła.

Kasia się dziwiła rozumowi Wtoruchy i dumna z zajętego stanowiska gospodyni, poszła do chaty po skopek, aby ją wydoić. Tymczasem Zyzma wyjął z kieszeni starą, podszarzaną portmonetkę, i wyciągając z niej szóstkę po szóstce liczył, chodził po izbie i plany układał. Na bladej jego twarzy odbijały się wrażenia z płynących myśli i namiętności nurtujących mu serce; — w oczach świeciły ognie, powieki drgały okolone długiemi rzęsami. Czarne, koloru hebanu jego włosy, łamały się w fantastyczne zagięcia, świecąc jak stal w promieniach słońca.

Wróciła Sara niosąc pół konewki żółtawego, gęstego mleka — dzieci biegły za nią. Zyzma usiadł na ławie i pisząc kredą po stole dodawał, odejmował, dzielił — lecz szybko zmazywał to co napisał, rzucając podejrzliwe na macochę spojrzenia, choć macocha piśmienną nie była.

Sara zgotowała kluski na mleku — rozdzieliła je: dla siebie i dzieci w jednej misce,— w drugiej podała Zyzmie.

— Mało — rzekł.

— Płacisz? wrzasnęła żydówka zirytowana — To ja i na ciebie będę pracować? Nie dość mi trojga swoich?

— A część mego ojca gdzie się podziała? — spytał z zimną krwią Zyzma.

— Tyś się wściekł — krzyknęła jeszcze głośniej. — Zostały długi to je płać.

— Kiedy były długi, to musiały być pożyczki. Gdzie się podziała gotówka z pożyczek, — mówił z wyszukanym spokojem przeszywającym serca namiętne i wrażliwe.

Sara nic nie odpowiedziała, — wargi jej drżały, ręce się trzęsły. — Posadziła Mojżeszka na stole karmiąc go sama.

— Gdybyś był do niego podobny, lepiej umrzyj dziś — szeptała.

Josek i Ryfka stali przy stole, podparli głowy na rękach i łowili kluski, spoglądając na Zyzmę z pogardą, jaka się tylko w ciemnych oczach Wschodu malować może. — Josek pociągnął matkę za spodnicę pocieszając ją cicho;

— Jak urosnę to go wypędzę — i pogroził małą swą pięścią.

Lecz Zyzma nie słyszał i nie widział gróźb. Odwrócony jadł swoją porcję. Za chwilę powstał, zbliżył się do półki, wziął bochenek chleba, ukroił grubą kromkę kozikiem i wrócił do mleka aby je skończyć.

Ruchy Zyzmy śledziła matka i dzieci, — lecz Sara nie miała już tchu w piersiach na protestację. Oburzenie tamowało jej oddech, zatykało gardło. — I temu to zawdzięczał Zyzma, że mógł dokończyć spokojnie obiadu, otworzyć własną szafkę zamkniętą na kłódkę, od której klucz nosił przy sobie, wyjąć z niej worek i koszyk niewielki, napełniony paczkami zapałek. Na spodzie leżały w zgodzie obok siebie szpilki ze szklanemi główkami, igły, nici szare i białe, bawełna, guziki cynowe, taśmy kolorowe... czego tam nie było?

Cały ten towar nie przenosił wartości trzech guldenów, lecz właściciel jego umiał tym kapitałem świetnie obracać, zarabiać sto za sto, lub zamieniać na szmaty daleko większej jeszcze wartości. — W worku było pół baraniej skóry, odpowiedniej grubości igła, nici i naparstek. Zyzma miał w ręku rzemiosło. Wybornie łatał i naprawiał kożuchy, a że był pilny, zręczny i nie drogi, z łatwością znajdował zarobek. — Widocznie wybierał się na dalszą wycieczkę, bo chałat i buty nałożył na kij, opierając go o ramię, a koszyk z towarem nasunął na rękę — Nie mówiąc ani słowa wyszedł poważny i zimny.

— A nie wracaj, jeżeli masz przyjść z próżnemi rękami — zawołała za odchodzącym Sara, lecz Zyzma nie raczył się odwrócić i odpowiedzieć.

— Co on nas ma objadać, nie może mama drzwi na kłódkę przed nim zamknąć? — radził mały Josek.

— Wlezie oknem, — szepnęła żydówka.

— To do wójta z nim.

— Przed gojem będę stawała na sąd, aby się dać na pośmiewisko całej wsi? Goje nie powinni wiedzieć, co się u nas w chacie dzieje, a sprawa przed rabinem dużo kosztuje. Zyzma może dać więcej i wygrałby.

Sara westchnęła, i ułożywszy Mojżesza do snu, wyjmowała z sieczki i plew jaja, w czem jej pomagali Josek i Ryfka. — Josek bardzo mądry chociaż zaledwie dwanaście lat skończył, — Ryfka ośmioletnia dziewczyna dużo okazywała sprytu do handlu. Mówiła to sama Wałowa, wymagająca w tym kierunku bardzo wiele.

Sieczkę i plewy wyniesiono na górę, — dzieci wybierały się z Łaciatą na wał, Ryfka miała paść, a Josek pilnować chodząc po wale.

— Obejdziemy się bez Zyzmy — rzekł do matki. Nasadził na głowę jarmułkę, przykrył ją kapeluszem słomianym, poprawił czarne, kręcące się pejsiki, ujął bat — i z wielką powagą wyszedł, — Ryfka pobiegła naprzód. Matka wyjrzała z chaty za synem, a patrząc kiwała głową, mlaskała ustami i uśmiechała się do nadziei swych, powtarzając z cicha:

— Rabin! — rabin! Będzie z niego rabin, jąk Pana Boga kocham — rabin.

Różowe jej myśli wzburzone zostały wspomnieniami Zyzmy.

— Wysysa moją pracę, okrada moje dzieci, objada je, — rujnuje nas! Nie mogę ani centa uskładać, ani jednego centa dać na procent! Pracuję ciężko, a głowy na starość nie będzie gdzie położyć. — Ta jedna krowa, te parę gęsi — i nic — i nic.

Chwyciła się za włosy i padła na ławkę łkając.

Rozpacz matki zbudziła zakopanego w pierzyny Mojżeszka. Rozwarł szeroko oczy. Sara skoczyła do łóżka i tuliła dziecko,

ż póki rozmarzone gorącem powtórnie nie asnęło. I znowu siadła przy stole — podparła głowę ręką i zamyśliła się.

— Powiem, — zawołała, — powiem wszystko...

Zamknęła drzwi na kłódkę, klucz schowała pod przycieś, i wybiegła w szeroki świat.

— Poskarżę się — i muszę do wieczora arobić choć ze dwie szóstki.

Słońce paliło, — wiatr południowy zaierał w piersiach oddech, drażnił nerwy osłabiał — Sara biegła rozpostarłszy nad łową białą chustkę. — Dziesięć palców — edna tylko głowa, a czworo dzieci.

Ciemne chmury zwolna wysuwały się poza granatowych gór. Burza góry nawet rzed sobą pędziła; — zbliżyły się tak, że ylko rękę wyciągnąć, aby je dostać. Sara ie bała się burz. — Co ją mogły obchodzić urze, w obec skargi na Zyzmę i nadziei arobku...

Widział ją z wału Josek.

— Mama! — zawołała Ryfka — wysuwając się naprzód.

— Ty rób swoje! krzyknął zatrzymując ziewczynkę. Matka nie ma czasu bawić się tobą.

Ryfka usłuchała Joska — szanowała ego powagę i ceniła rozum.

— Josek to tylko do rozkazywania, — owtarzała często Sara — Ryfka wierzyła natce na słowo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIERSZ BEZ TYTUŁU.

Znałem młodzieńca, który mogiły
Nad wszystko w świecie ukochał —
Klęczał nad niemi smutkiem pochyły —
Dnie całe klęczał i szlochał —

V nich widział szczęście swe, przyszłość całą,
V nich widział jądro żywota —
stnienie jego z nich siłę brało
marzeń nić szczerozłota...

I marniał, wychudł, zbladł chłopiec młody,
Zmarszczki mu czoło pokryły,
Krew mu mroziły grobowe chłody —
Życie zeń ssały mogiły..

umiani, zdrowi jego rówieśni
naczej pędzili życie,
Vśród szumnych gwarów, wesołych pieśni
ozkosz spijali obficie..

W pracy widzieli swe przeznaczenie,
W ruchu — żywota podstawy,
Wzrok ich poiły słońca promienie,
Żyli — dla życia i sławy!

Namogilnemu druhowi swemu
Tak wciąż śpiewali co rana:
„Czemu gnuśniejesz, bracie nasz, czemu
„Twarz twoja łzami zalana?

„Nie wraca doba, gdy raz minęła,
„Taki ład zawsze i wszędzie —
„Kto żyć chce — niech się bierze do dzieła
„I sam swą przyszłość zdobędzie!

„Szanuj mogiły, co mieszczą w sobie
„Szczątki przeszłości olbrzyma —
„Ale nie marnuj swych sił na grobie,
„Nie szukaj życia — gdzie nie ma!

„Grób nieruchomy — nam ruchu trzeba —
„Ciasny — nam trzeba przestrzeni —
„Ciemny — nam trzeba promieni z nieba
„Barw, tęczy, światła, zieleni!

„Więc porzuć, druhu, bezczynność swoją,
„Porzuć marzenie, co mami —
„Na walkę życia pierś okuj zbroją,
„I naprzód, naprzód — wraz z nami!“

Czy młodzian rzuci mogilną ciszę,
Czy się do pracy zabierze? —
Nie wiem — lecz pewna, że towarzysze
Radzą mu dobrze i szczerze.

Bolesław Czerwieński.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Pomiędzy licznemi własnościami fizjologicznemi, które mają odróżniać najwyższy twór przyrody — człowieka od innych ssaków, wymieniano i ten, że człowiek nie może poruszać swoją skórą, a szczególnie uchem. „Jedynie u człowieka“ powiada Pliniusz w swojej Historia naturalis, uszy są nieruchome. Stąd pochodzi przydomek Flaccus (obwisłouchy). „Podobnie wyraża się w tym przedmiocie Arystoteles. I rzeczywiście jeżeli zwrócimy uwagę na najbliższych naszych towarzyszy, psa lub konia, jak to one umieją wyrażać za pomocą ruchów ucha rozmaite swe usposobienia — i porównamy to z nieruchomością ludzkiego ucha — różnica rzeczywiście okaże się bijącą w oczy. Dla tego to starożytni chcąc uwydatnić zwierzęce rysy w charakterze Herkulesa, szczególny kładli nacisk na to, że uszy jego są ruchome, którą to własność przypisywano Satyrom i Faunom“. „Gdybyś go jedzącego po pierwszy raz zobaczył“ pisze Epicharmis „mógłbyś umrzeć ze strachu. Z piersi jego ryk się wydobywa, szczęki jego poruszają się z łomotem, zgrzyta zębami trzonowymi, i błyska kłami. Oddech jego podobny do głębokiego chrapania, a uszami porusza, jak zwierzę czworonożne“.

Tymczasem wcale nie jest usprawiedliwionem twierdzenie, jakoby jedynie człowiek posiadał nieruchome uszy i tem odróżniał się od reszty ssaków; antropoidy jak pod wielu innymi względami, tak i pod tym są do nas podobne, a o szympansach i orangutanach twierdzą stanowczo dozorcy menażeryj, że nigdy uszami nie poruszają.

Małpy niższych gatunków mają uszy ruchome, jednak w małym stopniu, nie z tego powodu, jak niektórzy twierdzili, że życie antropoidów na drzewach jest dosyć bezpieczne, a więc nie wymaga nadzwyczajnej czujności — ale dla tego, że zanikają u nich liczne muskuły, które służą zwierzętom do poruszania skóry. Szczególna rzecz, że pomimo długiego niefunkcjonowania, muskuły do poruszania ucha zachowały się, jakkolwiek tylko w bardzo szczątkowym stanie, u człowieka, a jest ich siedm do władania w rozmaitych kierunkach.

Jak długo te rudymenta muskułów istnieją, nie można wykluczać możliwości rozwinięcia ich i wprowadzenia w życie, a o tej możliwości podporządkowania woli człowieka nie tylko muskułów usznych, ale w ogóle szczątków muskułów skórnych, rozsianych po naszem ciele, a obecnie nie funkcjonujących — da się przytoczyć wiele zajmujących przykładów. Przywołajmy sobie na samprzód na pamięć, co mówi Karol Darwin w tym przedmiocie:

„Każdy musiał zauważać, że niektóre zwierzęta, szczególnie konie posiadają wielką zdolność poruszania swej skóry za pomocą muskułów skórnych. Szczątki tych muskułów w stanie zdolnym do funkcjonowania, posiadamy i my, w różnych częściach naszego ciała n. p. na czole, gdzie podnoszą brwi do góry. Niektóre osoby posiadają zdolność ściągania powierzchnych muskułów skóry na głowie. Pan De Candolle dał mi zajmujący przykład wielkiego rozwoju tej własności i jej dziedzictwa. Zna on familję, której pewien członek, obecnie naczelnik rodziny, będąc młodym człowiekiem, jedynie za pomocą poruszania skóry, ciężkie książki na głowie położone daleko od siebie odrzucał. Robił to o zakład i zawsze wygrywał. Jego ojciec, wuj, dziadek i troje dzieci posiadają tę samą zdolność, równie w nadzwyczajnym stopniu. Przed ośmiu generacjami familia ta podzieliła się na dwie linje, tak że ów ojciec rodziny, o którym mówiliśmy, jest obecnie w siódmym stopniu pokrewieństwa, do ojca rodziny drugiej linji. Ten daleki krewny mieszka w innej części Francji; zapytany, czy posiada także ową zdolność, natychmiast zaczął się popisywać z równym sukcesem. Przykład ten jest nowym dowodem, że pewne, nawet zupełnie niepożyteczne zdolności są dziedzicznemi w dalekich pokoleniach.

„Zewnętrzne muskuły, które służą do poruszania zewnętrznej części ucha i wewnę-

trzne, poruszające rozmaite jego części (oba należą do systemu muskułów skórnych) znajdują się u ludzi w stanie szczątkowym; różnią się także co do stopnia rozwoju i funkcyj. Widziałem człowieka, który mógł poruszać uszy naprzód, a inny wznosił je do góry, trzeci znowu w tył pochylał. Jeden z nich twierdził, że dotykając często uszu i robiąc usiłowania, aby je poruszyć, każdy człowiek wywoła w owych szczątkowych muskułach pewną siłę ruchu."

Podług sprawozdania abbé Marolles, filozof Crassot mógł uszy spuszczać i podnosić nie dotykając się ich wcale rękoma. Miał to być szczególny widok. Jak twierdzi Prokop, cesarz Justynian miał uszy nader ruchome i z tego powodu podczas walk stronnictw cyrkowych w Konstantynopolu „zieleni" nazywali go osłem. Pewien uczony naturalista opowiada, że jego kolega szkolny ćwiczył się w poruszaniu uszu. Z początku to mu nie szło, mimo natężenia woli nie czuł żadnego zewnętrznego poruszenia, później jednak wytrwałością do zadziwiających doszedł rezultatów.

Święty Augustyn napisał w dziele swem „De civitate Dei" dwa zajmujące rozdziały, w których podaje liczne przykłady uległości pewnych muskułów woli ludzkiej. Pisze on: „Nie tylko podług woli poruszamy tymi członkami ciała, które mają kości, jak ręce, nogi i palce, ale także temi, które składają się jedynie z mięsa i nerwów, jak tego dowód na muskułach twarzy. Nawet płuca, obok szpiku najmiększe ze wszystkich części ciała ludzkiego, są posłuszne jako miechy kowalskie lub miechy organów woli człowieka, do śpiewania, do wydawania pewnych głosów i nadania im właściwego charakteru. Niektórym zwierzętom daną jest od natury zdolność, poruszać skórą oblekającą całe ciało i w ten sposób z pewnego poszczególnego miejsca spędzać trapiące muchy, a nawet wyrzucać tkwiące już w skórze strzały." Dalej podaje święty Augustyn, że człowiek miał także własność poruszania skóry, utracił ją jednak z wieloma innymi przymiotami wskutek swego nieposłuszeństwa. Mimo to u niektórych ludzi pozostały ślady tej własności. „Są ludzie, mówi dalej, którzy mogą poruszać uszyma, bądź to dwoma razem, bądź każdem z osobna. Są i tacy, którzy nie poruszając całą głową zdolni są włosy na czoło zesuwać. Są i tacy, którzy mogą połykać różne przedmioty, a potem ścisnąwszy żołądek oddawać je napowrót. Niektórzy przez odpowiednie naprężenie muskułów wydają głosy ptaków, tak łudząco, że zdaje się jakoby rzeczywiście ptak śpiewał. Ja sam się przekonałem na pewnym człowieku, że mógł się pocić na zawołanie, kiedy tylko zechciał. Wiadomem jest także, że są indywidua, mogące w każdej chwili płakać i obfite łzy wylewać..."

Jako ostatni przykład przytacza ojciec kościoła, że pewien młody ksiądz, skoro tylko słyszał płacz, wpadał w pewnego rodzaju odrętwienie, co wcale jednak nie popiera zdania jego o wpływie woli na muskuły. Najbardziej uderzającymi są przykłady działania woli ludzkiej na te muskuły, które zdają się jej nie podlegać n. p. na mięśnie żołądka. Widziano już niejednego kuglarza, który wypijał ogromną masę wody a potem wyrzucał ją z siebie w kształcie fontanny. Przykłady św. Augustyna są wielkiego znaczenia dla teorji Darwina, a właściwie Lamarcka, dowodzą bowiem, że i starożytni umieli argumentować w ten sposób, jak oni i nie uważali człowieka, jako nieodmienną kreaturę.

Wiedzieli oni także dobrze, że pewne właściwości charakterystyczne są dziedziczne. Marcjal utrzymuje to o uszach ruchomych. W 39 epigramie trzeciej pieśni pisze: „Widząc tego młodego człowieka ze spiczastą głową i długiemi uszami, które tak porusza jak osioł — któż może wątpić, że to syn Cyrty, błazna?" Obserwując familje linoskoków każdy mógł zauważać, że ludzie ci najlepiej do sztuk używać lubią własnych dzieci, a to z pewnością z tego powodu, że odziedziczyły one po nich pewne przymioty, a nieraz widząc dowody nadzwyczajnej zręczności u tych ludzi mimowoli przychodzi na myśl pytanie, czy możliwem jest dojść do takiej perfekcji w ciągu jednego żywota?

ROZCZAROWANY.

Nowella wenecka przez Tally-Ho.

(przekład z francuskiego).

Kto sam w życiu nie doznał czegoś podobnego, nigdy nie zdoła wyobrazić sobie zachwytu, jakim przejęty jest artysta, gdy poraz pierwszy spełnione zostają najgorętsze jego życzenia, gdy u stóp swoich widzi błękity Adryatyku — nad głową czuje — bo rzeczywiście odczuć je można — lazurowe niebo Italii, a na okół słyszy melodyjną włoską mowę... Nie wiele też osób zrozumie ów zapał, jaki przepełniał moją duszę, gdy przed wielu laty, w piękny jesienny wieczór znalazłem się w Wenecji.

Bez zamiaru kreślenia własnej autobiografii, muszę tu jednak wyjaśnić, że jestem malarzem, i że w owym czasie właśnie opuściłem pracownię mistrza mojego, znakomitego X...

Wszystko com tylko spostrzegł, przybierało w moich oczach malownicze kształty; każde okno, bez względu jakiego było stylu, bizantyńskie, gotyckie, czy też maurytańskie tylko, wydawało mi się godnem przeniesienia na płótno; w tym gorączkowym zachwycie naszkicowałem już pomnikowe fasady z placu Św. Marka, Palladium, Most westchnień i arkady z pałacu dożów. Następnie od architektury przeszedłem do scen z natury, które opuściłem z kolei dla studjów nad człowiekiem; posiadam jeszcze w mojej tece naszkicowane wówczas głowy, z których niejedna znalazła się później w wykonanych przezemnie obrazach. Czas przyjemnie mi upływał, raz przecież zostałem wplątany w historję tak niezwykłą nawet w krainie artystycznych mych marzeń, że postaram się opowiedzieć ją tu, jak będę umiał najdokładniej.

Zapuściłem się pewnego razu w zupełnie nieznaną mi część miasta, i przechadzając się bez zwrócenia uwagi na otaczające mnie przedmioty, rozmyślałem o arcydziele, które miałem wykonać, a które utrwalić miało na wieczne czasy pamięć pobytu mojego w stolicy dożów — gdy nagle głos dzwonu kościelnego zbudził mnie z moich marzeń.

Sprawdziwszy, z której strony dolatują owe dźwięczne tony, zwróciłem się w tym kierunku, i po chwili znalazłem się przed olbrzymią kamienną świątynią, z marmurowym portykiem, którego każdy stopień wyżłobiony był stopami pobożnych, od kilku wieków wstępujących w te progi.

Zmrok panujący we wnętrzu kościoła, nie pozwalał mi nic rozpoznać na pierwsze spojrzenie, ale po niejakiej chwili, gdy oko oswoiło się z ciemnościami, ze zdziwieniem podziwiałem misterną rzeźbę kolumn podpierających sklepienie, a przy blasku dwóch świec, do połowy spalonych, zauważyłem, iż obraz umieszczony w wielkim ołtarzu musiał być utworem jednego z pierwszorzędnych malarzy włoskiej szkoły.

Zanim zdołałem rozpoznać co ten obraz miał przedstawiać, z zakrystji wyszedł stary pater, w asystencji dwóch chłopców, i zaczął mszę odprawiać. Usunąłem się za jeden z filarów, aby tem swobodniej studjować na twarzach garstki obecnych w kościele, jaki efekt sprawi na nich służba boża i kilka mdłych promieni słońca, przedzierających się przez kolorowe szybki okien.

Wszystkiego było może około trzydziestu osób, trochę mniej lub więcej, prawie sami wyrobnicy, kilka kobiet z dziećmi na ręku, i gromadka wieśniaczek okolicznych, odróżniających się jaskrawemi chustkami na głowach i widocznie świeżo zakupionemi różańcami, rzeźbionemi z drzewa, których skuteczności jak najprędzej chciały spróbować.

Dość długo już przyglądałem się malowniczej grupie, jaką miałem przed oczyma, i zamierzałem już oddalić się, gdy nagle uwagę moją zwrócił odgłos lekkich kroków od strony głównych drzwi wchodowych. Odwróciłem się i spostrzegłem kobietę, wchodzącą właśnie do kościoła.

Zauważyłem, iż sięgnąwszy ręką po wodę święconą, rzuciła na okół szybkiem i trwożliwem spojrzeniem; następnie, zamiast wmięszać się w tłum, stojący przed wielkim ołtarzem, usunęła się w ustronny kącik, a padłszy na kolana przed krzyżem, złożyła ręce na piersiach, schyliła pokornie głowę i gorąco zdawała się modlić. Po chwili opuściła bezwładnie ręce, głowę podniosła nieco, zwracając ją ku wizerunkowi Chrystusa; cała postać jej z głębokiej pokory poprzedniej, przeszła w rozpaczliwe błaganie, ręce ścisnęła konwulsyjnie, czoło do zimnego przytuliła muru. Blady promień słońca zsunął się teraz z chóru, oświetlił w przelocie jej twarzyczkę i pozwolił mi schwycić wyraz nieokreślonej słodyczy, cechujący delikatne jej rysy. Twarz ta przypomniała mi znakomity obraz, przedstawiający świętą Katarzynę na modlitwie, znajdujący się w galerji księcia Ortolani, i nic naturalniejszego, że w tejże chwili przyszła mi ochota wymalować również św. Katarzynę, według uroczego modelu, jaki zjawił mi się tak niespodzianie.

Oliwkowa jej cera tem wydatniej odbijała niepokalany, dziewiczy rumieniec na licach; drobniutkie usta — Wenecjanki w ogóle nie odznaczają się małemi ustami — zdradzały wrażliwość tak delikatną, iż kiedy się modliła, zdołałem obserwować każde drgnienie ich i nieomal odgadnąć znaczenie każdego szeptu. W czarnych jej oczach mieściły się niewyczerpane skarby słodyczy i łagodności, a długie rzęsy na całe lica zdawały się uroczy cień rzucać. Z zupełnie czarnego, a przytem nader skromnego jej stroju, trudno mi było odgadnąć, do jakiej sfery towarzyskiej należy, o ile jednak wnioskować mogłem na podstawie nabytego już doświadczenia, przyszedłem do przekonania, iż musi być żoną kupca lub urzędnika. Każdy, najmniejszy ruch jej, zdradzał pewną dystynkcję i to właśnie co budziło we mnie prawdziwy zachwyt; gdyż niewiem dlaczego, ale zdawało mi się wówczas, iż żadną miarą nie mógłbym brać kobiety z ludu za wzór do świętej Katarzyny, o jakiej marzyłem.

Czem więcej wpatrywałem się w tę kobietę, tem silniejsza przejmowała mnie żądza uzyskania jej na model; wiedziałem dobrze, że kobiecie nieznajomej podobnej propozycji uczynić nie wypada; i właśnie nad tem rozmyślałem. Gdybym się mógł dowiedzieć, czem się jej mąż zajmuje, czy wyrabia klejnoty czy tylko paciorki szklanne, albo wachlarze; czy sprzedaje cygara lub co bądź innego, wszelkie przeszkody możnaby usunąć. Dla uzyskania tych wiadomości, jeden tylko przedstawiał się środek, śledzić za nieznajomą po wyjściu jej z kościoła.

Podczas gdy różne te myśli chodziły mi po głowie, msza się skończyła, i kobieta, której nie spuszczałem z oczu, powstała i szybkim krokiem zwróciła się ku dzwiom. Nie byłem jeszcze zdecydowany w jaki sposób zbliżę się do niej, gdy traf szczęśliwy niezmiernie mi sprawę ułatwił: nieznajoma wstając upuściła chusteczkę, i nie spostrzegłszy swej zguby wyszła pospiesznie z kościoła.

Nie tracąc ani jednej minuty, schwyciłem chustkę i pobiegłem za nieznajomą, zstępującą właśnie ze schodów portyku. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że gdybym oddał jej chustkę zaraz przed kościołem, podziękowałaby mi kilku słowy tylko, i straciłbym sposobność zrobienia bliższej znajomości, co niezawodnie łatwiejszem by było przy spotkaniu na ulicy. Przewidywania moje nie zawiodły mnie wcale. Pozwoliwszy jej odejść dosyć daleko, przyspieszyłem dopiero kroku, zbliżyłem się do pięknej nieznajomej, i zdejmując kapelusz, z całą możliwą uprzejmością zapytałem, czy przypadkiem f a z z o l e t t o, które miałem szczęście znaleść, nie jest jej własnością.

Nieznajoma drgnęła spojrzawszy na mnie, wydała lekki okrzyk zdziwienia na widok koronkowego płatka, który trzymałem w ręku; potem spuściła znów oczy, wzięła chustkę i rzekła spokojnym głosem:

— M i l l e g r a z i e, s i g n o r e; w istocie, byłam przed chwilą w kościele św. Katarzyny

Uśmiechnąłem się na ten dziwny zbieg okoliczności:

— Jakto! zawołałem — to jest kościół świętej Katarzyny?

— Nieinaczej; pan o tem nie wiedziałeś?

— Nic a nic — odrzekłem — ale co dziwniejsza, że przez cały czas pobytu mojego w tym kościele, myślałem tylko o świętej Katarzynie.

— Ah! to pan zapewne ze Sienny przybywa? zapytała nieznajoma.

— W Siennie nie byłem jak żyję! — odparłem; jeżeli jednak zechcesz mi pani przebaczyć moją śmiałość, muszę wyjaśnić, że dopiero patrząc na panią przyszła mi myśl o świętej Katarzynie. Czy — dodałem ciszej nieco — żaden jeszcze artysta nie miał szczęścia brać wzoru z pani dla wykonania wizerunku tej świętej?

Komplement mój, wypowiedziany tak bez ogródki, sprowadził rumieniec na jej lica. Niepodnosząc wcale oczu, wstrząsła tylko głową, i z owym niezrównanym wyrazem słodyczy, jaki mnie już poprzednio w niej uderzył, odpowiedziała:

— Niestety, s i g n o r e, jeszcze nigdy nie służyłam za model. Gdzieżby tam moje pospolite rysy, mogły wzbudzić natchnienie!

— Najmocniej przepraszam panią — rzekłem na to z głębokim ukłonem — sam jestem malarzem i z całą pewnością twierdzić mogę, że nigdy jeszcze żaden artysta nie miał przed sobą doskonalszego modelu, jakim by mogła być s i g n o r a, a może poprawiłem się — winienem powiedzieć s i g n o r i n a?

— Nie, panie — pierwsza nazwa jest dla mnie właściwszą.

— Pozostaje mi zatem przeprosić panią za moje natręctwo — kończyłem kłaniając się ceremonialnie. Widzę, że zuchwałe marzenie moje nie urzeczywistni się nigdy, ale w każdym razie chciej mi wierzyć s i g n o r a, że jeśli ośmieliłem się zatrzymać ją na chwilę, uczyniłem to jedynie dla utrwalenia w pamięci jej rysów, które pragnę przenieść na płótno.

— Więc pan na serjo zamierzasz wymalować świętą Katarzynę? zapytała prędko.

— Upewniam panią, że jest to najgorętszem mojem pragnieniem!

— Ha! skoro tak, więc będę panu służyć za model. Uprzedzam tylko, że jedynie w godzinach rannych — wieczorem nigdy.

Wyjaśniłem jej, że pora przedpołudniowa pod każdym względem jest najdogodniejszą, i, jak tego żądała, wręczyłem jej mój bilet wizytowy, z adresem mojego mieszkania w Wenecji.

— Miej pan troszkę cierpliwości — dodała żegnając się ze mną — jutro rano będę w pańskiej pracowni.

Rzuciła jeszcze jedno na mnie spojrzenie i oddaliła się pospiesznie, zostawiając mnie na środku ulicy, z kapeluszem w ręku, rozmyślającego nad oryginalnem tem spotkaniem.

Przez resztę dnia dziwna ta istota nie schodziła mi z myśli; pytałem się sam siebie, czy zechce dotrzymać słowa i czy przyjdzie nazajutrz do mej pracowni. Wątpiłem o tem... Prawda, że jako mężatce łatwiej jej było oddalić się z domu rano aniżeli w każdej innej porze; ale co mąż na to powie?... czy on zezwoli?... czy raczej nie powinien stanowczo zabronić, aby żona jego służyła malarzowi za model, chociażby nawet do obrazu świętej Katarzyny?...

Co było pewnego w całej tej historji, to jedno tylko, że s i g n o r a nie zdradziła

wcale swojego incognito. Nie powiedziała mi swego nazwiska ani imienia nawet... Zważywszy tę okoliczność, miałem słuszny powód do obawy, że anielskiej dobroci twarzyczka jej nie ozdobi nigdy mojego płótna, jeśli nie zdołam odmalować jej z pamięci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Album Gryglewskiego.

Artykuł okolicznościowy.

Wystawa dzieł sztuki w auli politechnicznej zostanie lada chwila zamkniętą.

Pisma codzienne zamknęły sprawozdanie o niej, a nam już i tak na szczegóły zapóźno. Uczynimy więc to, co pozostaje, poruszymy myśl, którą ongi mimochodem podnieśliśmy na innem miejscu, a którą jeszcze raz przypomniała nam tegoroczna wystawa.

Na jednej z środkowych sztalug zwracał uwagę każdego zwiedzającego wystawę maleńki obrazek Gryglewskiego, przedstawiający: Wnętrze kościoła w Krośnie. Była to drobnostka, ale drobnostka wykonana wspaniale, z tem misternem wykończeniem szczegółów architektonicznych, jakie cechowało wszystkie w ogóle prace naszego perspektywisty, a stawiało go w jednym rzędzie z najznakomitszymi malarzami wnętrz architektonicznych wszystkich czasów. Dość było spojrzeć na ten kościółek krośnieński przez dłoń stuloną, aby rozmierzyć całą jego przestrzeń, aby poznać jego architektoniczne rozmiary, linie i całą ornamentykę i sięgnąć okiem aż po galerję chóru, gdzie umieszczono organy.

Wykonane w ten sposób rysunki nie mają wyłącznie wartość jako dzieła sztuki malarskiej, owszem mają one niemniejsze znaczenie dla teorji architektury, a artysta malarz, znawca sztuki i architekta z równą przyjemnością i korzyścią mogą czynić studja nad nimi.

Z tego powodu zdaje nam się, iż koniecznem byłoby wydanie albumu Gryglewskiego.

Historja naszej architektury tak samo jak historja sztuki w ogóle leży u nas w kolebce. Na każdym kroku daje się uczuwać brak studjów przedwstępnych, archeologicznych, czy artystycznych i zaledwie z tradycji wiemy, że architektoniczne pomniki nasze z wszystkich epok mają swe charakterystyczne cechy i znamiona, że istnieje osobny styl gotycki wiślano-bałtycki, że nasz renesans i barok różnią się w wielu szczegółach od pomników spotykanych w innych krajach, że mamy jednem słowem, niepowiemy styl, ale pewien odrębny charakter w budowlach naszych, który koniecznie należałoby poznać bliżej i wystudjować jako podstawę przyszłą do restauracji naszych zamków i kościołów.

Brak ten prac przedwstępnych najlepiej się dał uczuć obecnie, przy zamierzonej restauracji zamku na Wawelu. W Krakowie oglądaliśmy na zjeździe techników z prawdziwym podziwem mozolne studja p. Prylińskiego do owej restauracji, obok których stoją równie sumienne prace p. Odrzywolskiego. Lecz pomijamy restaurację Wawelu, do której przy wielkich nakładach pieniężnych na ten cel ofiarowanych znajdą się odpowiednie materjały, nam chodzi o to, aby i reszta naszych architektów mogła mieć przed sobą wzory p o l s k i e g o budownictwa. Brak takich wzorów czuć się daje bezustannie, a zdaje nam się, że pierwszym krokiem w tym kierunku, krokiem na razie bardzo odpowiednim byłoby wydanie albumu, o którem wspomnieliśmy wyżej.

Album Gryglewskiego niewyczerpałoby, rzecz prosta, wszystkiego i niemogło zadość uczynić wszystkim wymaganiom, ale dałoby przecież myślącym architektom dosyć motywów, aby na tej podstawie oparci, mogli dalej snuć ich wątek. Gryglewski przez ciąg kilkunastoletniego żywota artystycznego (ur. się w Brzostku 1833, umarł w Gdańsku 1879) wyczerpał prawie wszystko, co piękniejszego z pomników architektury pozostało w kraju naszym; z pałaców, zamków i w ogóle większych gmachów malował Willanów, Olesko, Wiśnicz, Podhorce, pałac Łazienkowski, bibliotekę Jagiellońską, dawne Sukiennice, ratusz w Gdańsku, i t p. ze świątyń zaś dał nam prześliczne wnętrza kilku kaplic w katedrze wawelskiej, w kościele panny Marji, św. Jerzego i św. Barbary, a dalej kościołów w Krośnie, Gdańsku, Bardyowie, wołoskiej cerkwi, Bernardynów we Lwowie i wielu innych, które trudno wymienić z pamięci.

Jest to bezwątpienia materjał bogaty, któryby mógł złożyć piękne album widoków perspektywicznych, pełnych wartości dla architektów, a nader miłych pamiątek dla każdego amatora i znawcy. Na wydaniu album takiego jeszcze nie wszystko by się skończyło, dla budowniczych specjalnie byłoby to wszystko jeszcze niewystarczającem, ale początek w tym kierunku raz przecież uczynić trzeba, a zdaje nam się, iż dobrze by było zainaugurować rzecz tę wydaniem albumu Gryglewskiego. *Admir.*

Przegląd teatralny.

(Występy Ładnowskiego).

Sezon letni dobiega końca. Niedługo przeniosą się znów muzy do zimowego przybytku w teatrze hr. Skarbka poczem, miejmy nadzieję, znajdzie się więcej tematów do opracowania w tej rubryce... Obecnie z całego sezonu letniego niepozostaje nam nic więcej nad sprawozdanie z występow p. Bolesława Ładnowskiego.

Cóż o nich powiedzieć nowego? Pan Ładnowski znany nam jest oddawna i oddawna oceniony dokładnie, w szczegoły zaś gry jego wdawać się niemożemy raz dla braku miejsca a powtóre dlatego, że z góry postanowiliśmy sobie pisać jeno krytyki ogólne, zasadnicze, bo tylko takie odpowiedne są w tygodniku.

Artysta warszawski ma wiele warunków fizycznych na znakomitego „przedstawiciela człowieka“, jak powiada Iffland, ale ma i wiele braków, które nie pozwalają mu rozwinąć w grze całej siły, poruszającej jego nerwy i oddać wszystko z taką potęgą, z jaką pewne wstrząśnienia natury ludzkiej umie on odczuć i zrozumieć.

Ztąd gra jego jest spokojna i umiarkowana. Artysta wstrzymuje się od wybuchów, aby całą siłą uderzyć w najważniejszym momencie, a na tem gra jego zyskuje tę miarę prawdziwie artystyczną, która nadaje jego kreacjom piętno, w całem tego słowa znaczeniu estetyczne. P. Ładnowski posiada ogromną inteligencję i zmysł obserwacyjny; umie on głęboko wniknąć wtreść swej roli, dokładnie zrozumieć każdy jej szczegół i z tego powodu o ile gra jego w tych szczegółach jest obmyślana i wykonana misternie, o tyle całość także ma zawsze ton odpowiedni i koloryt, pozwalający widzowi od pierwszej chwili odgadnąć charakter jaki przedstawia artysta, co bezwarunkowo przyczynia się wielce do zainteresowania publiczności...

Wspomnieliśmy wyżej, że p. Ładnowski nie ma pewnych warunków fizycznych.

Jednym z najważniejszych braków w tym względzie jest brak wyrazistego dużego oka. Jeżeli dość słaby i mało dźwięczny organ głosu zmusza go do deklamacji więcej akcentowanej i wyrażania pewnych momentów wiele mówiącemi pauzami, zmusza go do miarkowania się i niepozwala na wybuchy zapału, wymagające pewnej potęgi i czystości organu głosowego, to brak oka ogranicza znacznie grę jego mimiczną i pozostawia pozie, gestykulacyi, drganiom mięśni w twarzy to, co mogłoby wyrazić daleko łatwiej jedno błyśnięcie powiek.

Wszystkie te jednak trudności p. Ładnowski pokonuje z powodzeniem, a chociaż owo ograniczenie możności jego danymi warunkami fizycznemi, spokój deklamacji i pozowanie skazywałoby go na role klasyczne, kostiumowe, wygląda on przecież prawie tak naturalnie w salonie dzisiejszym jak w obozie, lub rycerskiej sali i umie równie dobrze nosić frak jak zbroję lub purpurę.

Inteligencja jego i temperament, naginający go do wszystkiego, czyni p. Ładnowskiego wszechstronnym.

Na dowód prawdy tego twierdzenia dość przypomnieć jego Albina ze „Ślubów" Fredry i groźnego Ryszarda III, lub szukając przeciwstawienia bliżej, w cyklu ról obecnie granych przez naszego gościa przywieść na pamięć tylko Nowowiejskiego z „Przed ślubem" i Corrada z „La morte civile".

A jednak mimo wszelkiego uznania dla wszechstronności talentu znakomitego artysty najmilej przecież wspominamy sobie zawsze jego kreacje Shakespearowskie. Zdaje nam się, że ukochał je najwięcej także sam artysta, bo z niemi się najchętniej zawsze popisuje, a nam niepozostaje chyba nic innego jak skonstatować, że p. Ładnowski jest najlepszym obecnie reprezentantem bohaterów Shakespearowskich w Polsce Jego namiętny i zaciekły a przecież niepozbawiony ludzkich uczuć Otello, jego refleksyjny, a tak rozumny i uczuciowy Hamlet, jego zdziecinniały, miękki a przecież wielki król Lear, wszystko to są kreacje tak pełne porywającej prawdy, a tak głębokie w sobie, że bez przesady, a ze zgodą całej inteligentnej publiczności możemy powiedzieć, że w tym kierunku p. Ładnowski nie tak prędko znajdzie sobie równego artystę.

Przegląd literacki.

(*„O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich napisał Dr. Wojciech Kętrzyński dyrektor zakładu nar. im. Ossolińskich. Z trzema mapami. We Lwowie 1882" str. 653. 8 vo.*)

Kto zamieszkiwał Prusy wschodnie i zachodnie w czasie rządów krzyżackich — Niemcy czy Słowianie — oto kwestya sporna od dłuższego czasu w świecie uczonych. Niemieccy historycy szowinizmem patrjotycznym uniesieni jak Heinel, Schmidt, Saltzwedel, i tp. ugruntowawszy swe wywody jużto na niemieckim języku urzędowym rządów krzyżackich, na niemieckich przezwiskach szlachty, miast i wsi, jużto na powszechnem użyciu prawa niemieckiego upatrzyli w pierwotnych mieszkańcach czystej krwi germanów. Polscy uczeni czuli mylność tego zapatrywania, jak np. Dominik Szulc („O Znaczeniu Prus dawnych") ale nie mogąc wywody swe oprzeć na źródłach, jakie zawierają pruskie archiwa, popadali często w drugą ostateczność widząc wszędzie Słowian lub za puszczając się w błędne i bezpodstawne etymologiczne rozumowania jak Sieniawski („Biskupstwo warmińskie") tworzyli prawdziwe horrenda. Trzeba było głębokich studjów archiwalnych, by kwestję należycie rozjaśnić, a dokonał tego dr. Kętrzyński w swem dziele „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich." Trudności musiały być niezmierne, dość wspomnieć, że dla samego poznania polskich nazwisk miejscowości ochrzczonych niemieckim mianem robić musiał autor osobne studja, jak świadczą „Nazwy miejscowe polskie Prus wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckiemi. Lwów 1879," których samo zestawienie wyniosło 235 stronnic. Nie dość na tem; archiwa pruskie mimo zachwalane niemieckie gospodarstwo, nie w najlepszym są stanie. W archiwum radzyńskiem najważniejsze papiery znalazł Kętrzyński, a raczej odkrył na poddaszu kościoła farnego. „Najważniejsze archiwa, akta ziemskie i grodzkie, pisze autor w przedmowie, które po upadku Rzeczypospolitej stały się własnością rządu pruskiego, zaginęły wszystkie z wielką szkodą nie tylko dla dziejów polskich lecz i krzyżackich. Podczas gdy inne rządy: austrjacki rossyjski archiwa owe wziąwszy w posiadanie, zgromadziły je w jednem miejscu i otoczyły swą opieką, rząd pruski oddał je na pastwę Niemcom przez siebie sprowadzonym i urzędnikom niemieckim, którzy wzgardzając społeczeństwem polskiem bezwzględnie i bezsumiennie je zatracili."

Nie potrzebujemy również przypominać jak w ogóle utrudniony jest wstęp do pruskich archiwów i że chcąc nieraz ważną a niezbyt miłą wiadomość wynieść z nich dla rządu — należy być nader zwinnym.

W samem przeto zebraniu materjałów niepoślednia zasługa dr. Kętrzyńskiego, ale największa leży ma się rozumieć w tak umiejętnem ich wyzyskaniu. Jakby znakomity malarz z pod kurzu, pleśni i innych naleciałości, jakie naniosły niemieckie rządy krzyżaków i Brandenburczyków w pruskie ziemie, wydobył Kętrzyński prawdziwy obraz polskiego życia tych prowincyj. „Ktoby n. p. mógł sądzić, że Nieclis von Schillingsdorf jest Polakiem i to Polakiem z Korony polskiej, bo z ziemi dobrzyńskiej? Nic nie zdradza jego narodowości i tylko ta okoliczność, że list własny pieczętuje pieczęcią Jana z Radomina, marszałka ziemi dobrzyńskiej, który dwóch synów miał: Mikołaja i Pietrasza, rzuca niespodziewanie światło na tę sprawę. Tak samo ma się rzecz z Adamem von Logendorf al. Wepern, o którym wiemy, że był dziedzicem na Zielonej w Polsce, że nazywał się Świnka i potem piastował urząd kasztelana dobrzyńskiego. Od niego pochodzi familja Zielińskich, z których Gustaw Zieliński jako sympatyczny poeta powszechnie jest znany, (str. 139 i 140). Lub r. 1578 podpisuje się w podaniu urzędowem" Stewzel Dramsbitz von Sagsau"; na drugiej zaś stronie podania zrobiono wzmiankę urzędową, w której go nazywają„ Stenzel Sagseffski" to jest Stanisław Zagrzewski; w innem podaniu r. 1570 mówiono o „Johan von Wiliomowski auf Samrot pod Moragiem" na drugiej zaś stronie dopisano; „darauf ist an Hans von Wilmsdorf geschrieben." (str. 237.)

Jeżeli kto dziś jeszcze zechce twierdzić o niemieckości ziemi chełmińskiej i lubawskiej zaiste będzie więcej, jak upartym. Ludność wiejska była tam polską od czasów najdawniejszych, polską była szlachta, której wpływ tak silnym był, że niemiecka szlachta polszczała jak n. p. potomek Niclasa Schreiber w aktach rządowych niemieckich już nie pisał się „Schreiber" lecz „Schreybertzky". — Ludność miast była mięszana, bo i polską i niemiecką. Pomezanią kraj pierwodnie pruski lud polski powoli skolonizował i polskim uczynił. Tak samo rzecz przedstawia autor na Mazowzu pruskim i Warmii. Wiekowa praca całego zastępu naszych Bartków, Jaśków, Maćków, Staśków i Wojtków, (imiona najczęściej spotykane w źródłach pruskich) zdobywała powoli coraz większe obszary ziemi w dzikiej dotychczas pustyni dla polskiej kultury i cywilizacji. Szlachta Prus wschodnich, w której Jarochowski (Sprawa Kalksteina) widzi dziwne, uderzające podobieństwo do polskiej — to kość z kości brać nasza i to nie tylko w stronach mazurskich wśród ludności polskiej, ale autor wylicza około 153 rodzin szlacheckich polskich osiadłych w niemieckich stronach jak n. p. Ciesielskich, Cybulskich, Dąbrowskich, Jasińskich, Kamińskich, Krasińskich, Ogińskich, Re tenów, Twardowskich, Załuskich, Zielińskich i t. d. Nie tylko jednak szlachta posuwała się na północ, szedł za nią lud masą zakładając wśród niemieckich lub pruskich okolic, polskie osady mające stanowić niejako forpoczty naszej kolonizacji toż dziś one pierwsze uległy zniemczeniu. Dziś niestety wszystko się zmieniło; został jedynie lud mazurski wierny mowie i zwyczajom dziadów — czy na długo jednak trudno przewidzieć. Zasługa też niezmierna p. Kętrzyńskiego, że mało dotąd znane dzieje kolonizacji polskiej na północy rozświecił w tak znakomity sposób, że nam wykazał że nie tylko orężem, ale i pracą usilną rozszerzaliśmy w przeszłości pole naszych działań, że były czasy, kiedy i myśmy podobni byli do dzisiejszych niemieckich kolonistów i myśmy nieśli cywilizację w dzikie kraje tylko nie podbojem, nie przemocą, nie gwałtem, a wiekową pracą całych pokoleń. Zbytecznem byłoby dodawać, że obecnie niejeden pukt z zatargów prusko-polskich z innego stanowiska traktowanym być musi. Kto wie, czy hołd pruski 1525 r. nie będzie

usprawiedliwiony w naszych oczach, gdy zważymy, że na większe postępy czyniła kolonizacja polska za Zygmunta I. czyli innemi słowami, że Prusy książęce nie zdobyte orężem polskim, zdobyczą stać się miały pługa polskiego, nie ako przygotowującego grunt pod polskie rządy, — czyż bowiem późnie szemu wyciąganiu rąk ze strony obywateli pruskich ku Rzptej oprócz politycznych względów nie przypiszemy narodowościowych? Wszak czyniła to, jak widzimy z dzieła dr. Kętrzyńskiego, polska szlachta spokrewniona z szlachtą Rzeczypospolitej, a zazdroszcząca jej swobód i przywilejów.

Słowem dzieło dr. Kętrzyńskiego wiele nowego z sobą przynosi, a wszystko oparte na ścisłem rozumowaniu i dowodach. Toż z prawdziwą niecierpliwością oczekujemy na zapowiedziane przez autora rezultaty badań nad miastami polskiemi w 15, wprawem niemieckiem obdarzonemi, mające wykazać ich polskość z wyjątkiem nadgranicznych miast Szlązka i Rusi.

K. Ż.

Dr. Roman Pilat. Początek publicystyki literackiej w Polsce 1. Czasopisma uczone. Lwów 1882 r.

Autor „Literatury politycznej Sejmu czteroletniego“ p. Roman Pilat dał nam w pracy niniejsze ciekawy obraz początków naszej publicystyki literackie, poprzedziwszy go krótkim rzutem oka na ówczesny stan tej gałęzi piśmiennictwa w Europie zachodniej.

Dziennikarstwo polityczne wyprzedziło więcej niż o wiek prasę poważniejszą, poświęconą nauce, literaturze i krytyce. Ponieważ przytem ruch umysłowy i literacki ograniczał się początkowo na niewielkiej garstce ludzi uczonych, pierwsze przeto literackie pisma perjodyczne tych właśnie wyłącznie czytelników miały na względzie. Pojawiają się więc wcześniej od innych tak zwane czasopisma „uczone“, których pierwowzorem był założony w 1665 we Francji J o u r n a l d e s S ç a v a n s. Wiek jednak XVII. był początkiem rozbudzenia się szerszego ruchu umysłowego i społecznego, wkrótce więc i literacka praca perjodyczna rozszerzyła swój zakres i krąg czytelników. Zaczęły wychodzić tak zw. pisma „obyczajowe.“ Anglja przodowała w tym ruchu, w niej pwstały więc pierwsze pisma obyczajowe, a założony tam w początku XVIII. w. S p e c t a t o r Addisona miał wkrótce 14.000 czytelników.

Prasa literacka szła u nas torem, wytkniętym na Zachodzie, z tą różnicą, że pozostaliśmy o cały wiek w tyle za Europą, dzięki jezuickiej nauce i oświacie, panującej u nas wszechwładnie w wieku XVII. Dopiero wystąpienie Konarskiego było hasłem przebudzenia się z wiekowego letargu i martwoty. W r. 1747 otwartą zostaje biblioteka Załuskich w Warszawie; gromadzi się koło niej grono pisarzy i pojawiają się pierwsze pisma „uczone.“

Pierwsze pismo tego rodzaju powstaje nie tylko na wzorach zagranicznych, nietylko zakłada je Niemiec, lecz wydawane jest w języku niemieckim. Pismem tem była W a r s c h a u e r B i b l i o t h e k, założona w roku 1753 przez muzyka, przyrodnika, filozofa i lekarza, Mizlera. Późnie sam Mizler po paroletniem trwaniu swego wydawnictwa i wydaniu 4 tylko jego zeszytów, zakłada inne na jego miejscu, teraz już w języku łacińskim p. t. A c t a l i t e r a r i a etc, a gdy i to pismo nie miało zbyt wielkiego powodzenia, niezmordowany „uczony“ zaczął wydawać po polsku N o w e w i a d o m o ś c i e k o n o m i c z n e i u c z o n e.

Wszystkie te pisma nie trwały zbyt długo, wychodziły przytem nader rzadko i nieregularnie. Mieściły one wyłącznie prawie suche streszczenia dzieł naukowych, wychodzących w kraju i zagranicą, różne gospodarskie i lekarskie informacje, krytyki; samodzielnych poglądów nie zawierały prawie.

Prócz pism Mizlerowskich, które najwięcej położyły zasług na tem polu, łamiąc pierwsze lody, mieliśmy kilka innych pism tego rodzaju, a mianowicie: założony w 1754 J o u r n a l l i t e r a i r e d e P o l o g n e, również przez Niemca, Friesego, dalej W i a d o m o ś c i l i t e r a c k i e, wydawane przez jezuitów w Wilnie jako dodatek do Kurjera litewskiego (1760—63), J o u r n a l P o l o n o i s, Varsovie (1770), J o u r n a l l i t e r a i r e d e V a r s o v i e (1777—78) i Z b i ó r t y g o d n i o w y w i a d o m o ś c i wychodzący krótko w Krakowie w r. 1774—75.

Zbliżał się jednak i u nas czas większego rozbudzenia ruchu na polu publicystyki literackiej, a popularny nader „Monitor“ Bohomolca założony w r. 1765, należy już do innej fazy w rozwoju literackiej prasy perjodycznej, do pism „obyczajowych.“

Wydana obecnie część pracy p. Pilata ogranicza się na pismach „uczonych. “Autor, niezapuszczając się w głębsze wywody publicystyczne, nie rozsnuwając szerszych obrazów historycznych, ku czemu zresztą mało nadawał się i sam przedmiot opracowania, umiał rozrzucony materjał zgromadzić starannie, zebrawszy go w jedną interesującą całość.

E. R.

ZIARNKA.

„Ziarnko do ziarnka — mówi przysłowie — a będzie miarka“. Podobno nigdzie lepiej nie nadaje się na dewizę ta stara sentencja, jak do niniejszej rubryki naszego pisma. Przeznaczeniem jej, mieścić w sobie szereg uwag i wiadomości ważniejszych, które w ciągu tygodnia uzbierają się w tece redakcyjnej. Oczywiście, byłoby zbytecznem dodawać, jakiego rodzaju będą te wiadomości. Pisma codzienne notują skrzętnie w swoich kronikach wszystkie wiadomości o wypadkach i objawach z życia społecznego w naszym kraju, — dla nas zostanie wybór tylko takich, które ze stanowiska literacko-artystycznego podpadać mogą omówieniu i krytyce. A gdy już mowa o krytyce, zapewniamy was, szanowni czytelnicy, że nawet w tej kronikarskiej pogawędce, hasłem naszem będzie bezstronność zupełna, nieograniczona żadnymi względami. Osoby będą zawsze dla nas nietykalne, działalność ich jednak publiczna podlegać będzie u nas zawsze stanowczemu a spokojnemu sądowi.

* * *

Nie możemy się uskarżać na przyjęcie wiadomości o naszem piśmie przez prasę. Przyjęcie w ogóle było sympatyczne — więcej jeszcze, przyjęto nas komplimentami, co jak wiadomo w dziennikarstwie naszem wcale do powszednich objawów nie należy. Za koleżeńskie poparcie jesteśmy wdzięczni, a przypisujemy to nie jakimkolwiek własnym zasługom, ale zrozumieniu potrzeby pisma w rodzaju „Ziarna“. Jedynie klerykalny „Przegląd Lwowski“, robiąc wzmiankę o naszem wydawnictwie, wyraził wątpliwość, czy odpowiemy swemu zadaniu, a to z tego oryginalnego powodu ponieważ mamy być „Garibaldystami i Gambetystami“. Skąd „Przegląd“ wziął takie informacje o naszych przekonaniach — B o h z n a j e t i g e n e r a ł D e n, w każdym jednak razie co może mieć wspólnego nieboszczyk Garibaldi, lub cieszący się najlepszem zdrowiem i tuszą Gambetta z pismem literackiem, w którego program zupełnie polityka nie wchodzi—tego pojąć nie możemy. Wychodzącą znowu w Warszawie „Gazetę Polską“ ubrał korespondent lwowski w wiadomość, że pismo nasze ma być klerykalne. Nie prawdaż, że to wcale zajmujące bałamuctwo?

Jeden z tygodników warszawskich, poświęcając obszerną wzmiankę naszemu pismu, tak kończy: „Tam, gdzie nie ma ani jednego literackiego pisma, trzeba aby całe uczciwe młodsze pokolenie literatów, jako część niespracowana, otoczyło nowy organ sympatją i dało mu pomoc wszechstronną, gdyż trzeba mianowicie pamiętać, iż dotąd podobne projekta pism podnosili we Lwowie sami spekulanci księgarscy — a o tych mniejsza, teraz podnoszą je literaci i warto ich podeprzeć. Zobaczymy wkrótce co z tego będzie.“

Pojmą czytelnicy, że jako najbardziej interesowani, podzielamy tę ciekawość w wysokim stopniu.

* * *

Sprawa dyrekcji teatru lwowskiego jest od długiego już czasu przedmiotem powszechnego zainteresowania. Nie będziemy powtarzać jej przebiegu, rzecz ta bowiem znana powszechnie. Teatr nasz w ostatnich czasach postradał kilka najlepszych sił, repertoar mocno szwankuje, a z niczego nie można wnosić, aby się zanosiło na lepsze. Opinja publiczna jest w ogóle źle usposobioną przeciw lwowskiej dyrekcji teatru, a prąd ten nie powstał, jak zwykle bywa, wskutek dziennikarskiej agitacji, pisma bowiem nasze zachowały w tej sprawie zupełną neutralność i niczem nieutrudniły dyrekcji jej działalności. Pan Miłaszewski wniósł do fundacji prosbę o zwolnienie go z kontraktu od wiosny roku 1883., rezygnację swoją jednak uczynił warunkową od wypłacenia mu, jak nam mówiono, 11.000 złr. tytułem odszkodowania za straty, które poniósł wskutek tego że fundacja nie odrestaurowała teatru na 1. września, z którego to powodu zmuszony był dawać przedstawienia w teatrze letnim, nieodpowiednim już w obecnej porze roku. Sprawa ta jest w zawieszeniu i według wszelkiego prawdopodobieństwa fundacja nie przychyli się do żądań p. Miłaszewskiego, prawnicy bowiem twierdzą, że nie ma on do żądania od fundacji odszkodowania, dostatecznego tytułu prawnego. Jaki los spotka petycję, która ma być wniesioną do sejmu, przewidzieć trudno, w każdym jednak razie teatrowi naszemu nie uśmiecha się różowa przyszłość. Jeżeli p. Miłaszewski pozostanie, dotychczasowe stosunki będą trwać dalej.. Jeżeli ustąpi — co wtedy? Jacy są kandydaci na tak ważną posadę dyrektora lwowskiego teatru? Co do tego punktu — głucho — zupełnie głucho. Tymczasem ta niepewność sytuacji oddziaływa fatalnie tak na artystów, jak i publiczność, uczęszczającą licznie na przedstawienia p. Ładnowskiego, i starającą się pod wpływem pięknej gry jego zapomnieć o smutnej rzeczywistości.

A propos występów p. Ładnowskiego musimy wyrazić ubolewanie, że właśnie trafił na czas, w którym zmuszony jest grać w teatrze letnim, zupełnie niestosownym do wystawiania sztuk tego kroju, które stanowią jego repertoar. Ale cóż robić?. Habent sua fata... i występy gościnne.

* * *

Myśl zjazdu polskich literatów i artystów, którą w krakowskiem Kole literacko-artystycznem podniósł p. Kazimierz Bartoszewicz, zasługuje na szczególniejszą uwagę. Zjazdy podobne zbliżają pracowników jednego zawodu ułatwiają wymianę zdań i stać się mogą zawiązkiem szerszych planow, ogarniających całe społeczeństwo lub obejmujących tylko najbliższe sprawy i interesy wiecujących. Nie powodując się ani przesadnemi pretensjami, ani zbytnią skromnością zaznaczyć możemy, zgodnie z rzeczywistością, że pracownicy pióra i liczna dziatwa Apolina nader doniosłe i poważne mają do spełnienia zadanie. W zakres ich działalności wchodzą sprawy, dotyczące najważniejszych, najdroższych interesów społeczeństwa, na polu tem leżą zagadnienia niepośledniej doniosłości, między któremi wiele jest takich, które tylko zbiorowemi siłami dałyby się przeprowadzić.

Samo wreszcie zetknięcie ludzi liczących już u nas zastęp nie mały, może być nie bez znaczenia, jeżeli nie dla tego, żeby wytworzyć konwencjonalną i bezbarwną jednomyślność, to dlatego, żeby ściślej połączyć i ugrupować ludzi jednych przekonań i jednego kierunku.

Literaci przytem i artyści prócz zadań ogólnych złączonych z ich działalnością, mają swoje własne zawodowe sprawy, nagląco domagające się załatwienia. Może przy sposobności zjazdu łatwiej dałby się przeprowadzić projekt jakiegoś stowarzyszenia tych pracowników, jakiejś kasy ogólnej lub towarzystwa pomocy wzajemnej. Ze wstydem wyznać musimy, że gdy inni pracownicy mają już oddawna własne towarzystwa i inne podobne instytucje, my robotnicy pióra, pędzla, dłuta, którzy dzwonimy na tyle spraw innych, żyjemy rozstrzeleni, nie umiemy bronić i popierać swoich interesów najbliższych.

Projekt więc powstały w Krakowie witamy radośnie jako zapowiedź lepszej przyszłości.

* * *

Na wzór zagranicy powstaje i u nas coraz więcej salonów artystycznych. Przed laty, jeżeli się nie mylimy dwoma, założył u nas ktoś salon taki przy ulicy Łyczakowskiej, w ślad za nim poszedł p. Łukaszewicz, antykwarz, a obecnie, jak słyszymy mają myśl podobną pp. Seyfarth i Dydyński. Jak się powodzi tym salonom dawniej otworzonym, jak się będzie powodzić nowemu, nie wiemy. Nie było dotychczas w żadnym arcydzieł, to pewna, ale i kieszenie nasze również nie dla arcydzieł. Dla nas wystarczą dzieła młodszych artystów naszych, które stosunkowo nie są tak drogie, aby nie były przystępne dla średnio zamożnych nawet, a pamiętajmy, że w ten sposób nietylko damy malarzom naszym, czy rzeźbiarzom pracującym w kraju, pole do zbytu swych prac, ale, co w tym razie dla niejednego ważniejsza, będziemy mogli ozdobić niemi nasze mieszkania. Pisano już tyle dzieł o sztuce w salonie i uczono w jaki sposób może sobie każdy tanim nawet kosztem ozdobić artystycznie mieszkanie, a przecież co najmniej u nas, było to wszystko dotychczas próżną pisaniną. A przecież w istocie to rzecz nietrudna. Dowiedzie tego najlepiej krótkie obliczenie. Lichy olejodruk, który jest tylko meblem do zakrycia pustych miejsc na ścianie, kosztuje wraz z ramami około 50 złr. Dla zapełnienia ściany potrzeba ich 5 dajmy na to, koszt więc przyozdobienia jednej ściany w ten sposób kosztować będzie 250 złr. Za tę samą cenę prawie można mieć oryginały. Będzie ich dwa zaledwie, ramy w które są oprawione, nie będą bogato złocone, ale czyż można obliczyć, ile na tem zyska wartość tego salonu, ile w końcu zyska właściciel, który kupując oryginały, kupuje rzecz rosnącą z czasem w cenie, kupując zaś liche druki nabywa rzeczy kompletnie bezcenne dziś, a wprost bezużyteczne jutro. Salony artystyczne zatem będą miały u nas powodzenie, ale pod tym tylko warunkiem, że ogół publiczności naszej przejrzy, zaprzestanie wspierać spekulantów niemieckich, nabywać liche wyroby rzemieślnicze, i pozna, że poczucie piękna nie da się oszukać czczem mamidłem, ale jest pewną potrzebą ducha, że niepowiemy organizmu ludzkiego, której należy dogodzić w sposób rzetelny i uczciwy.

* * *

Żółwim wprawdzie krokiem, zdążamy jednak za ogólnym ruchem cywilizacyjnym. Po telegrafach, drogach żelaznych, tramwajach, będziemy mieli podobno kioski dla rozprzedaży gazet, a całkiem i całkiem już na pewno.... telefony. Miasto nasze, które na złość „panu Onufremu“ zaopatrzyło się niedawno w tramwaje, będzie miało niebawem i telefony. Co to za sztuka owe telefony — wiedzą już nasi czytelnicy. Dość powiedzieć, że ludzie zamieszkali na dwu przeciwległych końcach miasta, przy uprzejmem pośrednictwie biura centralnego, siedząc wygodnie we własnych mieszkaniach, rozmawiać będą sobie swobodnie, dawać sobie rendez-voux, zapytywać o zdrowie, informować się w sprawach nie cierpiących zwłoki, ba — porozumieć się nawet i wykłócić będą mogli. Trudno zresztą przewidzieć i wyliczyć, w ilu wypadkach życiowych usłużny telefon znajdzie swe zastosowanie....

ZAPISKI.

Literatura.

* W dzisiejszym numerze umieszczamy interesującą nowelę młodego pisarza francuzkiego p. Tally-Ho, który wstępnym bojem zdobył sobie szeroką sławę. W pismach codziennych drukuje on obecnie mnótwo powieści, z których najbardziej zajmującą dajemy naszym czytelnikom pod tytułem: „Rozczarowany“.

— Staraniem i nakładem krakowskiej Akademji umiejętności wyszedł tom I. historycznego dzieła niepospolitej wartości, p. t. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794), badania historyczne, ze stanowiska ekonomicznego i historycznego,“ przez T. Korzona. W powyższej pracy o szerokim zakroju, autor postanowił: „wyjaśnić tajemnicę zagłady imienia polskiego wraz z formą polityczną bytu, oraz żywotności wnętrza, żywotności bezkształtnych, a przecie wyraźnych cech jednego z samoistnych typów cywilizacyjnych.“ W tym celu p Korzon, wykluczywszy z góry krytykę wypadków i konjunktur politycznych, poświęcił swoją uwagę wyłącznie interesom materjalnym, ideom i przeobrażeniom społecznym pomienionej epoki. Ludność, rozległość terytorjalna, stan rolnictwa i położenie ludności rolniczej, handel, przemysł, stan miast i mieszczan, administracja skarbowa i siła finansowa skarbów: koronnego i litewskiego; nakoniec wojskowość i policja, oto główne wytyczne starannych badań i krytyki ściśle historycznej w tem cennem dziele, które obejmie 3 spore tomy. Tom 1szy, zawierający po zwykłej przedmowie, ciekawe studjum porównawcze o Europie i Polsce od połowy 16go wieku aż do śmierci Augusta III, jakoteż wyczerpujący pogląd na czasy Stanisława Augusta, traktuje następnie, o rozległości ówczesnej Polski i ludności, rolnictwie i rolnikach. Sam fakt, że Akademja umiejętności podjęła się wydania tego dzieła pod własną egidą, dowodzi rzeczywistej jego wartości i starczy podobno dla ogółu za wszelkie pochwały.

* Utwory dramatyczne naszych pisarzy, znajdują coraz częstszy wstęp i większe uznanie na scenach niemieckich. Oto dowiadujemy się, że najnowsza komedja M. Bałuckiego, która pono jeszcze dotychczas nie opuściła teki autora, p. t. „Gęsi i gąski,“ ma być niebawem przetłumaczona na język niemiecki, poczem przedstawiona będzie w jednym z teatrów berlińskich. — Z powieściopisarzy nowellistów, po Kraszewskim największej popularności w Niemczech zażywa genialny Litwos. Jego nowelki „Na marne,“ „Szkice węglem,“ „Janko muzykant“ i kilka innych pomniejszych, wyszły obecnie w wcale dobrym niemieckim przekładzie w Reclama „Uniwersalnej Bibljotece.“ „Petersburgski Herold,“ umieścił znowu Prusa prześliczną nowellę „Przygody Stasia.“ Pierwszy to podobno występ utalentowanego pisarza warszawskiego przed niemieckim światem.

* Wyborna komedja Bałuckiego „Grube ryby“ została przedstawioną w przekładzie czeskim w Pradze i podobała się powszechnie.

* Znany i zasłużony tłumacz arcydzieł literatury naszej na język niemiecki Henryk Nitschmann wydał w Lipsku świeżo historyę literatury polskiej pod tytułem „Geschichte der polnischen Literatur“. Jest to praca obszerna, największa ze wszystkich dotychczasowych dzieł o naszej literaturze wydanych w języku niemieckim. Praca p. Nitschmanna stanowi tom zbiorowej kolekcji wydawnictwa „Geschichte der Weltliteratur in Einzeldarstellungen.“

* P. Ludomił German, profesor szkoły realnej w Krakowie, przełożył na język niemiecki „Balladynę“ Słowackiego. O przekładzie tym pomówimy w następującym numerze.

* W czasopiśmie „Le Contemporain“ umieszczoną została nowela Litwosa „Latarnik“. Przekładu dokonała p. Marja Gorecka córka Mickiewicza.

Teatr i muzyka.

* Znakomity nasz komik Żółkowski, który był złożony tak ciężką chorobą, że zachodziła obawa, czy jeszcze będzie mógł kiedykolwiek wystąpić, ma się już znacznie lepiej. Dzienniki warszawskie donoszą, że rekonwalescencja jego nie potrwa długo, i będzie mógł już wkrótce oddać się napowrót pracy artystycznej.

* Prezesem teatrów warszawskich, po zrezygnowaniu z tej ważnej posady dotychczasowego p Wsiewołożskiego, ma zostać niebawem senator Gudowski. Prasa warszawska donosząc o tem, wyraża zarazem nadzieję, że Gudowski objąwszy urzędowanie pomyśli serjo o zupełnem zreformowaniu obecnych stosunków sceny stołecznej, które dziś nawet najbezstronniejszemu w nader smutnych przedstawiają się barwach. Podobno powołany będzie do życia komitet doradczy, złożony z literatów i dziennikarzy, artystyczny dyrektor sceny zostanie ustanowiony z poza grona tamtejszych artystów, i t. p. — słowem rokują sobie po Gudowskim wykonania wielu dobrych projektów, celem zreorganizowania i podniesienia teatrów warszawskich.

* W warszawskim teatrzyku Belle-vue, pod dyrekcją Puchniewskiego przedstawiono w tym miesiącu nowość, pięcioaktowy dramat ludowy p. Olechnowicza — Steckiego p. t. „Wieczornice“ z muzyką p Noskowskiego. Fabuła sztuki, zaczerpnięta z życia ludu wiejskiego, ma być dość szablonową; obok nieuchronnych wad pod względem budowy i przeprowadzenia psychicznego, które ostatecznie wybaczyć należy z uwagi, że to pierwszy utwór młodego pisarza, dramat zawiera kilka ustępów wcale szczęśliwie pomyślanych. Krakowiaki i mazurki p. Noskowskiego mają być arcydziełem swojego rodzaju, tyle w nich oryginalności, życia i piękna muzykalnego.

* Panna Marja Pruszyńska, znana warszawska śpiewaczka dramatyczna, puściła się z włoską trupą operową w podróż na około świata. Ostatniemi czasy, występowała z powodzeniem na wyspie Ceylon, w Hongkong a obecnie popłynęła do Australji.

* W Monachium przedstawiony zostanie w teatrze nadwornym niedługo dramat Shakespeara „Perikles,“ w opracowaniu scenicznem dyrektora Possarta, a z muzyką barona Perfalla.

* Sara Bernhard objąwszy dyrekcję teatru „des Nations“ w Paryżu, rozpoczyna cykl dramatycznych przedstawień od dramatu czteroaktowego panny S. Arnaud p. t „Jane Gray“ Dramat ten zdaniem krytyków i artystów, znających go z manuskryptu ma być arcydziełem. Są miejsca, które przypominają wprost Shakespeara. Główną rolę w sztuce Joanny Gray grać będzie Sara, do przedstawienia dwóch męzkich ról lorda Guilforda i niejakiego Grega, niema w otoczeniu Sary aktorów, szczególniej do Grega, którego zdaniem krytyków musiałby grać chyba Fryderyk Lemaitre.

* Coquelin sławny artysta dramatyczny z Théâtre Français zamierza pójść w ślady Sary Bernhardt i wybiera się w podróż artystyczną po Europie. Przedsiębiorcy pp. Dieudonné i Schürmann dają artyście całe utrzymanie przez czas dwumiesięcznej podróży i 150.000 franków gotówką. Coquelin rozpoczyna występy 14go w Nancy, 15go grać będzie w Sztrasburgu, a 17go stanie w Wiedniu, gdzie do 26go da 10 przedstawień. Między innemi wystąpi on w Chatriana „Les Rantzau“. Autor ten niechciał początkowo Coquelinowi dać pozwolenia na przedstawienie dramatu swego w Wiedniu, ale artysta zmusił go do tego, grożąc mu listownie, że mógłby kiedyś dostać mdłości przed przedstawieniem jakiej nowej sztuki autora „Les Rantzau.“ Z Wiednia udaje się Coquelin dalej do Odessy, Kijowa, Moskwy, Petersburga, Warszawy i Bukaresztu. W trupie jego znajduje się między innemi panna Julia Clery z teatru Vaudeville, pani Grazot z Gymnase, tudzież p. Mangin z Gymnase tudzież pp. Barzal i Lamaert z Odeonu.

Sztuki piękne.

* Historja Paryża, ilustrowana, a przedstawiająca cały kształt rozwoju nadsekwańskiej stolicy wyjdzie wkrótce nakładem J. Rotschilda pt: „Histoire de Paris“ Co się tyczy wydania podobne będzie to dzieło do przepysznych dzieł tegoż samego nakładcy o Florencji i Wenecji. Autorem Historji Paryża jest Karol Yriarte; książkę zdobi ogromna masa ilustracyj, wykonanych rozmaitym sposobem; obok drzeworytu i fototypii spotykamy tam radyrunek i druk kolorowy.

* W warstacie jakiegoś biednego krawca w Turynie, odkryto ostatniemi czasy przypadkiem obraz, pyłem i brudem pokryty, przedstawiający „Adorację pasterzy“. Monogram umieszczony na odwrotnej stronie płótna dowodzi bezprzecznie, że twórcą niepokaźnego na pierwsze wejrzenie malowidła, był nie mniej nie więcej, tylko nieśmiertelny Leonardo da Vinci.

Ledwie wiadomość o tem rozeszła się po świecie, w lot znalazł się amator Anglik, który kupił obraz niemal na wagę złota.

* „Salon“ paryski zwidziło w tym roku 564.933 osób, między temi zaś opłaciło wstęp 269.933, co dało razem 349.266 fr. dochodu, do czego dodawszy zysk ze sprzedaży katalogu w kwocie 25.000 franków, tudzież 12.000 z dzierżawy z restauracji okazuje się suma 986.266 fr. dochodu.

Ponieważ koszta wystawy niewynoszą więcej jak 180.000 franków pozostanie więc 206.266 franków czystego dochodu dla Stowarzyszenia artystów paryskich, którzy, jak wiadomo dawny salon oficjalny objęli na własne ryzyko.

* Nowa panorama przedstawiająca szturm na Bastyllę została w tych dniach otwarta w Paryżu. Artyści Poilpot i Jakob wybrali chwilę, w której tłum wpadł na podwórze a Maillard wzywa gubernatora Delaunay do poddania się. Widz stoi na terasie, pośród wzburzonego ludu. W oknach i na dachach ulic sąsiednich pojawiają się przerażeni mieszczanie, lub patryoci, ktorzy z góry strzelają w ulice. U dołu nieprzejrzany tłum ludu. Za tło obrazu służy Paryż z r. 1789 i okolica jego na kilka mil widzialna.

* Eugeniusz Guillaume b. dyrektor „Ecole des beaux arts“ a później dyrektor sztuk pięknych w ministerstwie Dufeaur'a został zamianowany profesorem estetyki i historji sztuki w College de France na miejsce zmarłego

br. Karola Blanca. Guillaume, rzeźbiarz z zawodu dał się poznać jako uczony znawca sztuki rozprawą swoją o Michale Aniele.

* Międzynarodowa wystawa sztuk pięknych w Wiedniu nie zostanie zamknięta 30. Września lecz dopiero 15. Października.

Archeologia

* Na jednem z ostatnich posiedzeń Towarzystwa archeologicznego w Berlinie mówi Hanek z powodu rozprawy Trendelenburga „O wielkim ołtarzu w Pergamon“ i rozprawy A. Conzego, „O płaskorzeźbie u Greków“ o granicach malarstwa i płaskorzeźby, i twierdził, że różnica leży tutaj nie tyle w farbie, która jest tak dobrze własnością rzeźby jak malarstwa, ile w sposobie wydobywania świateł i cieni, które w malarstwie tworzą się za pomocą nakładania tonów, w polichromicznej rzeźbie zaś tworzą się przez naturalne oświetlenie.

Kryterjum to nie jest stanowczem wobec starożytnej rzeźby, bo w początkach malarstwo zadowalało się jednym tonem, a egipskie koilanaglify i asyryjskie tudzież atyckie płaskorzeźby grobowe należy absolutnie zaliczyć do malarstwa. Postęp w modelowaniu płaszczyzny spowodował dążenia do zaokrąglenia płaszczyzn płaskorzeźbowo w ten sposób, aby powstawały zgodne z rzeczywistością światła i cienie. Ponieważ plastyka zależy od światła naturalnego, więc rzecz oczywista niedostępne są dla niej wszelkie motywa, których wdzięk estetyczny zależy na efekcie światła.

Ogień, powietrze, woda, chmury z tego powodu nie są dla niej dostępne; w grupie Jowiszowej na ołtarzu Pergamońskim nie jest przedstawiony objaw świetny piorunu, a raczej jego siła niszcząca. Naśladować blask źrenicy nawet odważyła się dopiero nowsza sztuka. Starożytni się o to nie kusili.

Nauki przyrodnicze.

* Nowego planetę odkrył 10. bm. adjunkt obserwatorjum astronomicznego w Wiedniu p. J. Palitsa. Oddawna szukał on za planetą zaginionym Urdą, i przy tej sposobności odkrył nowego asteroidę 12 lub 13 wielkości.

* W Monachium otwarta została 16 września wystawa elektryczna. Dotychczas nie jest ona jeszcze całkowicie urządzona, i przegląd jej systematyczny na razie jest niemożebny. Zanotować chyba wypada, że wśród wszystkich systemów oświetlenia elektrycznego, odniósł zwycięztwo system Schuckerta z lampami Piette-Krizika. Od pierwszej chwili po otwarciu najwięcej widzów a raczej słuchaczów gromadzi oddział telefonów, gdzie w pierwszym dniu publiczność przysłuchiwała się dźwiękom „Wojny o tancerkę“, sprowadzonym za pomocą drutów z jednego z teatrów przedmiejskich.

MISCELANEA.

* — Dwadzieścia cztery lat minęło od śmierci wielkiej artystki dramatycznej, która przyszedłszy na świat w małej wiosce Szwajcarskiej pod dachem ubogiego domokrążcy jako Elżbieta Felix, później jako Rachel zapełniała całą kulę ziemską rozgłosem swej zasłużenie zdobytej sławy, jako największa artystka tragiczna swojego czasu. Dwadzieścia cztery lat upłynęło już — powtarzamy — od chwili, gdy ta gwiazda pierwszorzędna zgasła w *Le Cannet*, opłakiwana przez całą Francję, żałowana przez inteligencję całego świata.

Ćwierć wieku, to ledwie chwila przelotna w dziejach ludzkości — natomiast długi przeciąg czasu, gdy idzie o zachowanie żywej pamięci dla aktorki, której kreacje z jej osobą zaginęły, a która z dzieł swoich nic nie pozostawiła współczesnym i potomnym, prócz — wspomnienia. Mimo to pamięć o niej żyje ciągle jeszcze świeża i niezwiędła, jak gdyby wczoraj dopiero widziano ją kroczącą w jednej z jej ról klasycznych, po deskach paryskiego teatru *Comédie Francaise.* Wyprzeć Rachel z pamięci Francuzów, byłoby bezsprzecznie największym tryumfem dla każdej artystki dzisiejszej. Atoli dotychczas nie powiodło się to żadnej. Chwilowo zdawało się, że Sara Bernhardt zostanie uznana jej godną następczynią — ale rychło nastąpiło rozczarowanie, Sara okazała się za mało klasyczną.

O małą milkę od Cannes w południowej Francji, leży wioska Le Cannet. Tam w willi Sardou, będącej wówczas własnością profesora Sardou, ojca znakomitego dramaturga Wiktoryna, skończyła Rachel 3. stycznia r. 1858, w pełni wieku, bo licząc ledwie 40 lat, życie uległszy suchotom, których zaród nosiła w piersiach, zdaje się, od wczesnej młodości. Chcąc powziąć należyte wyobrażenie o olbrzymiej czynności i ruchliwem życiu tej kobiety, wystarczy przeczytać dziełko p. Jerzego d'Heylli, które się pojawiło w Paryżu ostatniemi czasy pod tytułem: *Rachel d'après sa correspondance.* Wiele tam zajmujących szczegółów o jej rodzinie — dwie siostry Racheli żyją jeszcze: obie również artystki dramatyczne, Lia i Dinah Felix — o pierwszych jej krokach na scenie, o silnem poparciu w poważnym Journal des Débats, które miała ze strony tak potężnego krytyka, jak sławny Jules Janin; o jej nauczycielu Samsonie, którego rady zasięgała i później, będąc już znakomitością europejską, ilekroć zaczynała studjować nową rolę — nawet nieortograficzności Racheli nie przeoczył autor wspomnianej monografii.

Najcharakterystyczniejszym szczegółem tej wielkiej kobiety, jest bez kwestji szalona gonitwa jej za pieniądzem. Pod tym względem Sara Bernhardt ją doścignęła, a bodaj nawet czy nie przeszła swej wielkiej poprzedniczki. Hasłem tej i tamtej: Czas to pieniądz — dowodem tego następujący przykład: w maju r. 1849 Rachel ruszyła na objażdżkę artystyczną po Francji, i do końca sierpnia wystąpiła w trzydziestu pięciu miastach prowincjonalnych. Zdarzyło się raz, że jednego dnia grała w dwu miejscach. W liście do Ludwika Véron, pisanym w tym czasie — sama uznawała, że zbyt wielkich podjęła się trudów, a tylko co ją pocieszało, to nadzieja znacznych dochodów — *Quelle route!* są jej własne słowe — *quelle fatigue! Mais quelle dot!*

W całem jej życiu — zatem i w listach — najgłówniejszą rolę odgrywa pieniądz. Być może, że ogromny niedostatek, którego zaznała w dzieciństwie, przyczynił się do wyrobienia w niej gorączkowego pragnienia złota. Chciała mieć bogactwa nietylko dla siebie — ale również dla swoich najbliższych, i rzeczywiście rodzinę przedtem bardzo ubogą otoczyła wkrótce dostatkami. Faktem jest, że ojciec jej umierając zostawił majątek wartości 136216 franków, brat Rafael zostawił 151814 franków, a spuścizna Racheli wynosiła 1274371 franków. Połowę tej kwoty odziedziczyły jej dzieci — których ojcem był hr. Walewski — jedną czwartą rodzice — a jedną czwartą siostry. Prócz tego przekazała tetamentem cesarzowi Napolenowi biust Napoleona I wartości 3000 fr., ks. Napoleonowi, dwa koszyki na owoce i biust łącznej wartości 400 fr., ministrowi Achillowi Fould pieczątkę wartości 100 fr., literatowi Wiktorowi Séjour kałamarz i tekę (800 fr.), dziennikarzowi Emilowi de Girardin złote pióro (100 fr.), nakoniec księgarzowi M. Lévy — zegar pendułowy i dwa półmiski (1500 fr.)

Dziwnie to brzmi, bilans życia artystki wyrażać cyframi. Nie ile zarobiła, ale o ile zbliżyła się twórczością swoją do ideału — prawdy, powinnoby być miarą oceny jej wartości. A jednak przeczytawszy listy p. Rachel, i w każdym z nich powtarzany *refrain* — tyle a tyle franków miałam dochodu, tej wartości ofiarowano mi klejnoty tyle mam nadzieję zarobić w przyszłości, przychodzi się koniecznie do przekonania, że ideałem zaprzątającym przeważnie głowę p. Rachel — było złoto. Nawet oklaski frenetyczne i zapał, który budziła u wielbicieli, o tyle tylko znalazły w jej listach pobieżną wzmiankę, o ile by dla niej mniej lub więcej obfitem źródłem luidorów

Karjerę zaczęła w nader młodym wieku z gażą 800 fr. rocznie przy teatrze paryskim *Comédie francaise* z przeznaczeniem do ról dziecinnych. Ztamtąd wstąpiła do Konserwatorjum, a po ukończeniu zwykłych kursów, w r. 1837 wstąpiła do teatru *Gymnase*, gdzie pobierać miała początkowo 4000 potem 6000 franków rocznie. W rok potem przeniosła się do *Comédie francaise*, gdzie niemal z każdym miesiącem podwajano jej gażę — po kilku miesiącach matka jej, widząc ogólny entuzjazm dla gienialnej artystki, zażądała stałej gaży rocznie 40000 fr! W dwa lata później dochody roczne p. Rachel, dosięgały 100000 fr. — co przedstawia ogromną kwotę, jeśli się zważy, że przed 42 laty wartość pieniędzy bez porównania większą była od dzisiejszej.

Atoli nie dosyć jej było laurów i złota zbieranego w Paryżu — rok rocznie brała urlop kilkumiesięczny, i puszczała się w podróż artystyczną, która jej przynosiła jeszcze większe dochody. Na jednem tylko zawiodła się srodze w rachubie swojej — na wycieczce do Ameryki. Spodziewała się wywieść ztamtąd miljony — faktem jest że Sara Bernhardt osiągnęła z występów gościnnych w Ameryce miljon frank. czystego dochodu; — a zarobiła ledwie tyle, że starczyło na pokrycie wydatków kosztownej wyprawy. Bodaj czy ten zawód i poniesione straty materjalne nie pogorszyły jej wątłego zdrowia, i nie przyspieszyły zgonu! To pewna, że wróciła z za Oceanu złamana, rozgoryczona i zniechęcona; nie wystąpiła już więcej na deskach teatralnych, a w dwa lata potem skończyła, trapiąc się do ostatniej chwili życia tą myślą, że niemoc fizyczna pozbawia ją możności zbierania bogactw, których pono nigdy nie byłoby jej dosyć!

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.